

KONKRETY

nr 11

Tygodnik PZPR ■ Legnica ■ Rok XV
Nr 710 ■ 14 marca 1986 r. ■ 15 zł

Spojrzenia Roberta Szecówki



ROBS



Fot. Janusz Budnicki

Zainstalowanie w „Podgrodziu” czterech nowych pieców do wypalania wapna pozwoli zwiększyć jego produkcję o 80 tys. ton rocznie.

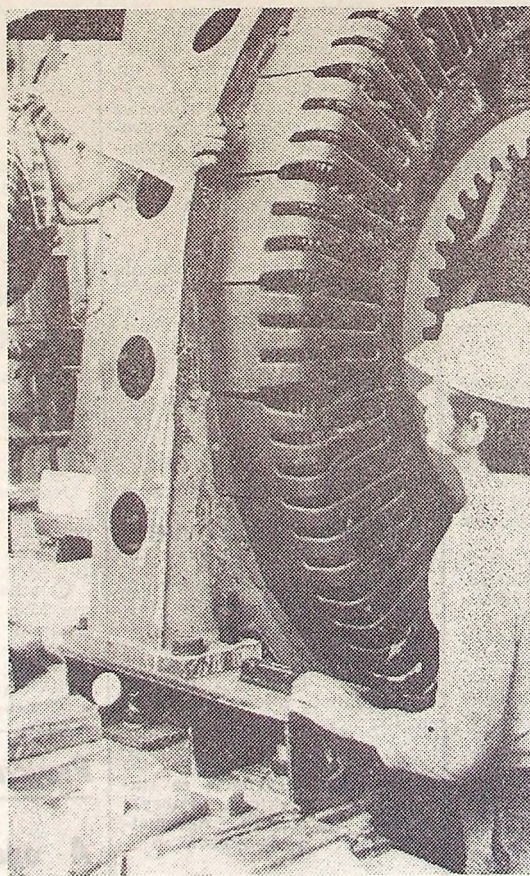
Aerobic na betonie str. 8-9



Fot. Janusz Budnicki

Czy jednak można od rolnika mleka nie przyjąć? Teoretycznie tak, ale w praktyce mało która zlewnia ma odwagę się na to zdecydować.

Mleczny galimatias str. 3



Fot. Janusz Budnicki

... przez długie lata inżynierowie pozbawieni byli prawie zupełnie zrozumienia materialnego, czy moralnego dla swojej pracy twórczej...

Gdzie ci specjaliści? str. 7



Fot. Janusz Budnicki

Ci, którzy przyszli na lubiński gigant, nie zawiedli się i byli świadkami efektownego i w pełni zasłużonego zwycięstwa lubinian.

Pomogła ambicja str. 12

Obradowała Egzekutywa KW PZPR w Legnicy

12 bm. odbyło się posiedzenie Egzekutywy KW PZPR, na której oceniono główne tendencje, zjawiska i rezultaty gospodarcze w województwie w okresie 1983-85. Po analizie wyników ekonomicznych opracowanych przez Wojewódzki Urząd Statystyczny oraz Narodowy Bank Polski stwierdzono, że podstawowe wskaźniki wojewódzkiego trzyletniego planu społeczno-gospodarczego generalnie zostały wykonane, a w wielu dziedzinach przekroczone. Rytmicznie wzrastała produkcja przemysłowa i rolnicza. Rekordowe wyniki osiągnął przemysł medyczny. Systematycznie wzrasta eksport. Utrwaliły się korzystne tendencje w produkcji rynkowej. Osiągnięto wysokie rezultaty w budownictwie mieszkaniowym i towarzyszącym. Planowo realizowano inwestycje przemysłowe oraz w zakresie ochrony środowiska.

Jednocześnie Egzekutywa KW zwróciła uwagę na niekorzystne zjawiska występujące w gospodarce województwa, m. in. na niewielką poprawę

efektywności gospodarowania, niską dyscyplinę pracy, znaczną materiałochłonność i energochłonność produkcji, brak poprawy w zakresie jakości wyrobów, utrzymujące się dysproporcje między wzrostem wydajności pracy a zwiększającymi się placami.

W przyjętej uchwale (którą opublikujemy w następnym numerze „Konkretów”) określono także kierunki rozwoju gospodarczego województwa na najbliższą pięcioletkę.

W cyklu indywidualnych ocen działaczy partyjnych w zakresie realizacji uchwały Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej ze stycznia 1984 roku — Egzekutywa KW wysoko oceniła pracę zawodową i działalność polityczną tow. Mariana Stanaszka, dyrektora oddziału ZUS w Złotoryi.

Egzekutywa KW przyjęła założenia programowo-organizacyjne tegorocznego święta 1-Maja oraz Dnia Konstytucji i Dnia Zwycięstwa.

(W.P.)

Z okazji Święta Kobiet

W miniony piątek uroczystie obchodzone w Legnickim święto piękniejszej połowy społeczeństwa. W zakładach pracy województwa odbyły się specjalne akademie, spotkania, wieczorki taneczne. W siedzibie Komitetu Wojewódzkiego PZPR odbyło się spotkanie Sekretariatu KW z kilkudziesięcioposobową grupą aktywistek Ligi Kobiet Polskich, Kół Gospodyń Wiejskich oraz Wojewódzkiej Rady Spółdzielczyń. Spotkanie prowadził sekretarz KW PZPR Jerzy Radzio, który przekazał w imieniu wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych pozdrowienia wszystkim kobietom zagłębia miedziowego.

Członkowie Sekretariatu KW PZPR odwiedzili też kobiety w

dniu ich święta na stanowiskach pracy. Sekretarz Jerzy Radzio spotkał się w Urzędzie Wojewódzkim z pracownicami administracji państwowej. Sekretarz KW Krzysztof Jeż odwiedził na stanowiskach pracy kobiety z Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Elpo” w Legnicy. Z kadrą pedagogiczną i uczennicami Liceum Ogólnokształcącego w Lubinie spotkał się sekretarz KW Zbigniew Korpać. Sekretarz KW Jerzy Szczepaniak gościł u pań w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Brzegu Głogowskim. Kobiety pracujące w chojnowskim „Reniferze” odwiedził z kolei przewodniczący WKKP Piotr Czaja.

(ski)

Ojczyźnie - wsi - sobie

5 marca w Legnicy obradował III Wojewódzki Zjazd Związku Młodzieży Wiejskiej. Na obrady sumujące dwuletnią kadencję władz przybyło 108 delegatów reprezentujących 5858 członków ZMW. Przybyli m. in.: przewodniczący WRN Eugeniusz Barczyński, prezes WK ZSL Eugeniusz Hasiuk, sekretarz KW PZPR Jerzy Radzio, sekretarz RW PRON Janusz Pyrkto. W obradach wzięła udział sekretarz Zarządu Krajowego ZMW Małgorzata Raczyńska.

Sprawozdanie z działalności ZMW w minioniej kadencji złożył wiceprzewodniczący ZW Andrzej Furmanek. Stwierdził m. in., iż w ciągu 5 lat działalności związku w zagłębiu miedziowym organizacja może poszczycić się wieloma osiągnięciami. Zdolano zaktualizować młodzież w wielu gminach. Za przykład takich działań mogą służyć koła ZMW w Swininie (gm. Grębocice), Jazowie (gm. Jerzmanowa), Karczewskich (gm. Lubin), Mikołajowicach (gm. Legnickie Pole). Młodzież ZMW przy pomocy władz gminnych i wojewódzkich buduje w Legnicy domy kultury, kluby, boiska sportowe, remontuje drogi, przystanki autobusowe, pomaga w remontach szkół, remiz strażackich, przedszkoli. Po raz drugi koło ZMW w Swininie zdobyło w minionym roku jedno z czołowych miejsc w kraju w konkursie „Najcenniejsza inicjatywa roku”. Młodzież w

tej wsi wykonała prace społeczne o wartości ponad 1 mln zł.

W referacie programowym przewodniczący ustępującego Zarządu Wojewódzkiego Tadeusz Kinach omówił najważniejsze działania polityczne, zwracając m. in. uwagę na udział młodzieży wiejskiej w kampanii przed X Zjazdem PZPR.

Konieczne jest w najbliższym czasie zaktywizowanie młodzieży wiejskiej w zakresie sportu i turystyki. Należy także poświęcić więcej uwagi udziałowi ZMW w różnego rodzaju samorządach na wsi. Młodzi na wsi muszą też dążyć do rozbudowy bazy kulturalnej, która w ostatnich latach maleje.

W dyskusji poruszono przede wszystkim zagadnienia związane z unowocześnieniem wsi, zapewnieniem rolnikom większej ilości maszyn i innych środków produkcji, rozwinięciem działalności kulturalnej na wsi.

III Wojewódzki Zjazd ZMW wybrał nowy, 33-osobowy Zarząd Wojewódzki. Przewodniczącym ZW został 22-letni rolnik z Karczewskich, Waldemar Kronecki. Wiceprzewodniczącymi ZW zostali: Waldemar Jakubowski — rolnik indywidualny z Kochlic, Antoni Neczyński — dziennikarz tygodnika „Konkrety” i Jarosław Nowak — pracownik etatowy ZMW.

(ski)

Jednym zdaniem

5 bm. — Prezydium MK SD w Głogowie oceniło działalność polityczną kół stronnictwa w roku ubiegłym. 5 bm. — MGK ZSL w Złotoryi i GK ZSL w Warcie Bolesławieckiej podsumowały kampanię sprawozdawczo-programową w kołach. 6 bm. — MGK ZSL w Ścinawie i MK w Lubinie oceniły przebieg kampanii sprawozdawczo-programowej w kołach. 6 bm. — w siedzibie GK ZSL w Gaworzycach odbyło się spotkanie aktywu kobiecego gminy z posłem Antonim Samborskim. 10 bm. — Sekretariat WK SD w Legnicy ocenił przebieg szkoleń politycznych i przygotowania do drugiego etapu edukacji związanej z wdrażaniem reformy gospodarczej, a w Rejonowym Ośrodku Działania ZSL w Jaworze odbyło się szkolenie polityczne aktywu ZSL. 11 bm. — KG PZPR w Zagrodzie przyjął materiały na gminną konferencję przedziałową, która odbędzie się 20 bm. 11 bm. — MGK ZSL w Chojnowie i GK w Chojnowie podsumowały przebieg kampanii sprawozdawczo-programowej w kołach. 11 bm. — z okazji Dnia Kobiet Prezydium WK ZSL spotkało się z większym aktywem kobiecym. 12 bm. — GK ZSL w Miłkowie obradował nad wnioskami z kampanii sprawozdawczo-programowej w kołach stronnictwa w gminie.

Jawor

A jednak można

Jaworskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej udowodniło, że jednak można właściwie zabudować stare domy. W innych miastach PGKiM-y ciągle tłumaczą się brakiem środków, materiałów np. dachówek, których w Jaworze nie brakuje, ponieważ przedsiębiorstwo nawiązało współpracę z Lubuskimi Zakładami Ceramiki Budowlanej.

Co roku PGKiM przeprowadza około 12 gruntownych remontów przedwojennych kamienic i 30 elewacji. Tak więc zabytkowym pięknym budynkom nie grozi „śmierć techniczna” — jak np. w Legnicy. Większość najcenniejszych jaworskich obiektów wyremontuje się w najbliższych latach.

(Fil.)

Jawor

Dodatkowa produkcja dla... melomanów

Jaworskie Zakłady Produkcji Obudów do Sprzętu Elektronicznego „Unitra-Diora” osiągają coraz lepsze wyniki. Wydajność pracy tylko w ub. roku wzrosła tam o 14 procent. Udało się również przekraczać ambitne plany produkcyjne. W ub. roku wykonano o 1,2 procent więcej kolumn — co oznacza, że dodatkowo będzie mogło je kupić 5 tys. melomanów.

Zakład poszerzył ostatnio swą rynkową ofertę o szafki do sprzętu muzycznego — typu „wieża”. Są one wykonane tak ładnie i starannie, że odbiorcy z RFN zamówili już 4 tys. sztuk. Do krajowych sklepów trafi w tym roku około 20 tys. szafek.

(Fil.)

Zmiany kadrowe

Na stanowisko dyrektora oddziału wojewódzkiego PZU w Legnicy mianowany został Józef Giziński (45 lat wykształcenie pedagogiczne). Upřednio piastował funkcję I sekretarza Komitetu Miejskiego PZPR w Legnicy.

Bronisław Łakomiec (52 lata) złożył rezygnację ze stanowiska dyrektora Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet-Dolzamet” w Chojnowie.

Dyrektorem Zakładu Robót Górniczych w Lubinie został Janusz Lipiński (41 lat, inż. górnik).

Dyrektorem Zakładu Budowy Kopaliń w Lubinie został Stanisław Szczepaniak (46 lat, inż. górnik).

Inż. Adam Szkolnicki mianowany został na stanowisko dyrektora legnickiej Centrali Materiałów Budowlanych.

(an)

Głogów

Rozbudowa osiedla Piastów Śląskich

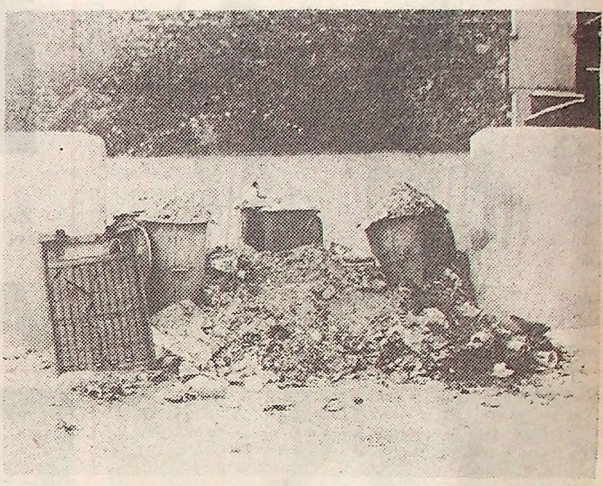
Jeszcze w tym roku zakończy się budowa pierwszej części mieszkaniowo-handlowej osiedla Piastów Śląskich w Głogowie gdzie mieszka już ponad 500 rodzin. Głogowskie Przedsiębiorstwo Budowlane odda tam jeszcze 353 mieszka-

nia, cztery sklepy, przychodnię, punkty usługowe, bar oraz klub. Za kilka tygodni rozpocznie budowę szkoły podstawowej w której dzieci zaczęły się uczyć na wiosnę 1987 roku.

GPB przystępuje do rozbudowy osiedla na terenie za ogródkami działkowymi. Jeżeli Zielonogórskiemu Przedsiębiorstwu Robót Inżynierskich uda się doprowadzić na czas ciepłociąg — w czwartym kwartale wprowadzi się tam 420 rodzin.

(Fil)

Kiedy wywiozą?



Fot. Janusz Budnicki

Taki widoczek fotoreporter utrwalił w podwórku przy ul. Złotoryjskiej 86 w Legnicy. Sterta śmieci wciąż rośnie, a służby ZOM zapewne zapomniały, że nieczystości powinno się wywozić w każdy wtorek (tak przynajmniej wynika z harmonogramu).

Reporter zanotował

4 bm. około godz. 21.00 zatrzymano na gorącym uczynku włamania Mirosława M., mieszkańca Legnicy, który wbrał się na kradzież do największego w mieście sklepu „Megasamu”. Złodzieję wszedł do wnętrza po wybiściu szyby okiennej. Przygotował do wyniesienia towar wartości 280 tys. złotych.

4 bm. włamano się do domu Mieczysława L. w Legnicy. Nieznani sprawcy spenetrowali mieszkanie i zabrali 250 tys. zł w gotówce oraz złotą biżuterię wartości 550 tys. zł.

1 bm. prokurator rejonowy

wy w Legnicy aresztował Bronisława K., Bogdanę W., Leopolda S. i Piotra W. Wszyscy są pracownikami Huty Miedzi „Legnica”. Podejrzewa się ich o to, że w minionym roku zagarnęli ze swojego zakładu 17 kg szlamu anodowego o wartości 150 tys. zł oraz nie ustaloną dodatkową ilość szlamu, z którego wytopili 9,5 kg srebra.

6 bm. w Tymowej, gm. Ścinawa zatrzymano kierowcę lubińskiego PKS Jana B., który ze swojego służbowego jelaça spuścił 230 litrów oleju napędowego.

6 bm. w Grochowicach, gm. Kotla powstał pożar stodoły Józefa K. Spaliła się konstrukcja dachu, siano oraz maszyny rolnicze. Straty szacuje się na 250 tys. zł.

(AN)

Przyczynki

A opalu nie ma

Do Szkoły Podstawowej nr 4 w Legnicy trafiał 5 marca przypadkowo. Okazało się jednak, że wizyta była owocna. Oprócz panującego bałaganu, który nie da się w żadnym stopniu usprawiedliwić prowadzonym remontem, dowiedziałem się, że właśnie w tym dniu skończył się w szkole opał. Palacz c.o. poinformował kierownika administracyjnego szkoły, podczas mojej obecności, że właśnie zmuszony jest wygaszać drugi piec, ponieważ

nie ma już nawet wiadra wody.

W szkole są dwa piece. Oba przystosowane wyłącznie na koks. Jednak już drugi rok pali się tu najczystszej węglem i to podłej jakości. Co kilka dni piece się więc psują, a dokładnie, zapychają się kanały kominowe. Trzeba więc wtedy jeden z pieców wyłączyć i ogrzewać drugim. I tak w kółko. Nie potrzeba przy tym mówić, że w tej sytuacji dość często w szkole w czasie minionej zimy było chłodno. Nie była to jedyna placówka oświatowa w województwie, w której brakowało tej zimy opału. Dobrze więc, że mamy wreszcie pierwsze objawy wiosny.

(SZ)

Nie pamiętam wiejskiego zebrania, podczas którego nie mówiono by o mleku. Najczęściej rolnicy zarzucaли zlewniarzom tendencyjność w klasyfikacji mleka. Mówiono o nieopłacalnej produkcji mleka, o systemie klasyfikacyjnym wziętym „z sufitu”. Oskarżano poszczególne okręgowe spółdzielnie mleczarskie o żerowanie na krzywdzie rolnika. Głosy te nie pozostawały bez echa. Zagadnieniami tymi zajmowały się wielokrotnie poszczególne instancje PZPR i ZSL. Każda ze stron konfliktu przedstawiała swoje racje. Producenti mleka mówili o tym, że brakuje pasz, środków czystości, chłodziarek. Przedstawiciele OSM twierdzili, że nie są w stanie ze złego mleka produkować wysokiej jakości wyrobów — masła, sera, śmietany, mleka spożywczego. Warto więc zapoznać się z oceną pracy punktów skupu mleka dokoła aną przez społecznych kontrolerów z Inspekcji Rolniczo-Chłopskiej.

FAKTY PRZECZĄ

powszechnym opiniom pokutującym na wsi, że sposób klasyfikacji mleka jest niewłaściwy.

71 kontrolerów IRCh, w tym 34 chłopów i 24 robotników odwiedziło 32 wybrane punkty skupu mleka. Dodatkowo pomocy kontrolerom społecznym udzieliło 32 specjalistów produkcji zwierzęcej z państwowych gospodarstw rolnych. Celowo nie korzystano tu ze specjalistów okręgowych spółdzielni mleczarskich, aby lustracja była w miarę obiektywna.

To co stwierdzono, wskazuje, że skup mleka prowadzony jest prawidłowo. Dobrze wyposażone są poszczególne punkty skupu w sprzęt laboratoryjny. Pracownicy posiadają odpowiednie przeszkolenie w zakresie obsługi urządzeń oceniających jakość mleka. W prawidłowy sposób funkcjonuje system ewidencjonowania i rzuczenia przyjętego mleka. Ustalono, że aż 2/3 mleka przyjętego do skupu w 1935 roku zaliczono do I klasy jakości. Za mleko to rolnicy uzyskali najwyższe ceny. Około 20 proc. mleka zakwalifikowano do klasy II, zaś zaledwie 10 proc. do klasy podstawowej, za którą płaci się najmniej.

Te fakty zmieniają ? zapośności obraz przedstawiany przez wielu rolników na wiejskich zebraniach. Mówi się tam często o tym, że nikt we wsi nie potrafi wyprodukować mleka o tak wygórowanych parametrach. A przecież to nieprawda. Tylko 10 proc. mleka to surowiec bardzo złej jakości i właśnie

Mleczny galimatias

Zygmunt Szczeciński

producenti tego mleka podważają zasadność obecnego systemu kwalifikacji.

Kontrolerzy IRCh stwierdzili też, że wielu zlewniarzy jest zbyt liberalny i skupuje mleko o parametrach znacznie odbiegających od wymagań polskiej normy. Mleko takie, chociaż skupowane w niewielkich ilościach, wpływa na jakość surowca przerabianego w mleczarniach. Wystarczy więc jeden czy dwóch rolników produkujących mleko złej jakości, aby cała partia mleka pochodziła z tej wsi odbiegała od norm.

Czy jednak można od rolnika mleka nie przyjąć? Teoretycznie tak, ale w praktyce mało która zlewnia ma odwagę się na to zdecydować.

PUNKTY SKUPU

są wyposażone we właściwy sprzęt potrzebny do wykonywania analiz, chociaż pewne braki podczas kontroli stwierdzono. Na 32 punkty skupu, które skontrolowano, nieprawidłowości stwierdzono w trzech. W Raciborowicach było laktodensymetru i termometru do mierzenia temperatury mleka. W Kwilicach niesprawny był aparat Gerbera a w Łagoszowie Małym nie było kwasu potrzebnego do oceny zawartości tłuszczu.

Wszystkie punkty skupu wyposażone są w sprzęt do jego schładzania, ale nie wszędzie jest on sprawny. Nie działały schładzarki w Udaninie, Jaczewie i Kwilicach. Nieszczerne pompy w schładzarkach zauważono w Udaninie, Raciborowicach i Łagoszowie Małym.

Bardzo złej jakości mleko skupowane jest w Grzymalinie, Parszowicach i Mierzychach. We wszystkich tych wsiach ilość skupionego mleka w klasie podstawowej, czyli najgorszej, przekracza 22 proc. W I klasie skupuje się w tych wsiach mniej niż połowę, przeciętnie wojewódzkiej 70 proc.

Kontrolerzy IRCh stwierdzili, że bardzo dobrej jakości mleko oddają do skupu rolnicy z Wierzbowej w gminie Gromadka. W pierwszej połowie stycznia 1935 roku mleko sprzedawane przez rolników w 87 proc. zakwalifikowano do klasy I, a tylko w 4 proc. do klasy podstawowej.

NIE WSZYSTKO MLEKO JEST CZYSTE

— tak wynika, z prób wykonanych przez społecznych kontrolerów. Na 45 przypadków przeprowadzenia prób w czystości, tylko 36 rolników dostarczyło do zlewni mleko odpowiadające I klasie. W czterech przypadkach mleko było tak brudne, że nie powinno zostać przyjęte. Brudne mleko ujawniono w zlewniach w Łagoszowie i Sokolej

Wielu dostawców przynosiło już do zlewni mleko kwaśne. Takich przypadków było aż 15. Musiano mleko zwrócić rolnikom w Krzywej, Prochowicach i Wilczycach.

Kontrolerzy wykonali też próby na ciężar właściwy mleka. Na 18 prób, w dwóch przypadkach ciężar właściwy nie odpowiadał normie. Jeden z rolników w Gniewomierzu przyniósł do zlewni mleko o ciężarze właściwym, który odpowiadał bardziej wskaźnikowi wody niż mleka. Przeprowadzono w czasie kontroli 157 analiz na zawartość tłuszczu w mleku. Ten wskaźnik decyduje w znacznym stopniu o cenie mleka. Uzyskane wyniki kwalifikowały mleko do I klasy od 130 producentów, a do klasy podstawowej tylko od 9 rolników. Zupelnym ewenementem był jeden z rolników w Wilczycach. Dostarczył on do zlewni mleko o zawartości tłuszczu nie przekraczającej 1,5 proc.

Na jakość mleka dostarczanego do mleczarni wpływ ma także czystość w punktach skupu. Tutaj kontrolerzy mieli sporo zastrzeżeń do okręgowych spółdzielni mleczarskich i samych zlewniarzy. Połowa kontrolowanych zlewni budzi w tym względzie zastrzeżenie. W wielu punktach skupowania nieporządek, wozcy nie posiadają uaktualnionych kart zdrowia, niesprawa jest kanalizacja, brakuje ciepłej wody do mycia urządzeń. Największe zaniedbania występują na terenie działalności Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Paszowicach. Lepiej jest w OSM w Legnicy, Grębolicach i Złotoryi. Najmniej zastrzeżeń stwierdzono w zlewniach należących do OSM w Brzegu Głogowskim i Lubinie.

NIEZROZUMIAŁA JEST SPRAWA SKARG

Stwierdzono, że we wszystkich kontrolowanych punktach skupu książki skarg i wniosków znajdują się na widocznym miejscu, ale... nie ma w nich wpisów producentów. W żadnej zlewni mleka w Legnickim nie odnotowano ani jednej skargi na funkcjonowanie punktu skupu. Skąd więc skargi do KW PZPR, WK ZSL, RW PRON, Urzędu Wojewódzkiego? Niewiele protestów odnotowano też w okręgowych spółdzielniach mleczarskich. Najwięcej, bo 5 wpłynęło do OSM w Złotoryi. Ani jedna skarga nie trafiła do OSM w Legnicy.

Zarówno zlewniami, jak i zakładami przetwórczymi kierują ludzie wybrani przez producentów mleka. Jaki jest więc samorząd w spółdzielniach mleczarskich, skoro ze skargami idzie się do KW PZPR a nie do wybranych przez siebie prezesów?

Generalnie kontrolerzy IRCh stwierdzili, iż bardzo słabo działają komitety członkowskie poszczególnych zlewni. W dniu kontroli tylko w 32 proc. zlewni dyżury pełnili członkowie komitetów. Jednak znaczną część działaczy bardziej interesuje się tym, aby ich własne mleko uzyskało dobre wyniki niż tym, aby pozostałe mleko odpowiadało normom.

ZANIEDBANIA TRZEBA USUWAĆ

— stwierdzali podczas spotkań z producentami kontrolerzy IRCh, ale nie można przeczyć oczywistym faktom. A są one następujące: Na ogół mleko oddawane do zlewni jest dobre. Część rolników oddaje mleko złe i albo trzeba z ich dostaw zrezygnować, albo muszę poprawić jakość dostarczanego surowca. Muszą się zaktywizować organa samorządowe w OSM-ach. Poszczególne spółdzielnie powinny zadbać o dostawy środków produkcji dla rolników oraz o czystość w zlewniach. I wreszcie sortować najważniejsza: Obecnie istniejąca polska norma w zakresie skupu mleka nie może być w żadnym wypadku obniżona. To słabi producenci muszą równać do dobrych a nie odwrotnie. Jeżeli będziemy mieli dobre mleko w zlewniach, to dobre będą też produkty z niego uzyskiwane.

Słownik języka polskiego taką oto daje definicję programu: „Wykład pewnych założeń i wytycznych działania mającego te założenia realizować”. W samym zaś projekcie dokumentu przedłożonym do dyskusji napisano: „Partia określa w programie strategiczne cele rozwoju kraju do początków XXI wieku i najważniejsze drogi do nich prowadzące”.

Jest więc program próba odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu zdołamy się zbliżyć do socjalizmu w toku najbliższego dwudziestolecia. A także wskazaniem przewidywanych sposobów osiągnięcia tego celu.

Nie jest to zatem plan konkretnych posunięć ani — tym bardziej — ich harmonogram. Charakter projektu programu nasuwa już od chwili jego publikacji rozmaite refleksje. Nie ma w tym nic dziwnego. W całej naszej powojennej historii nie mieliśmy programu partii. Ten, uchwalony przez X Zjazd, będzie pierwszym. Warto więc poświęcić chwilę uwagi zastanowieniu, czym taki dokument jest i czym nie jest.

nad projektem programu

PZPR

Czas wymiany poglądów

Jest to jak gdyby kanwa, na której będą się nakładały kolejne uchwały partii, od najbliższej uchwały zjazduowej poczynając. One będą dopiero uściślały zadania szczegółowe wraz ze sposobami ich realizacji. Na ich kształt będą jednak oddziaływały również warunki towarzyszące ich uchwaleniu, zarówno wewnętrzne, jak i międzynarodowe, takie, których pojawienie się można obecnie tylko przewidywać, ale z pewnością także, o jakich dziś nie mamy pojęcia. Warto przecież pamiętać, jak szybko toczy się współczesny świat.

Powie ktoś: skoro oczywiście jest, że dalekosiężny, strategiczny cel partii stanowi budowanie socjalizmu, zaś sposoby osiągnięcia tego celu i tak muszą uwzględniać zmieniające się warunki — po co w ogóle konstruować program? A tym bardziej — jak nad nim dyskutować?

Budownictwo socjalizmu w naszym kraju okazało się procesem znacznie dłuższym — i bardziej złożonym — niż się to wydawało u progu jego realizacji. Proces ten rozpadła się na różne okresy, których nie można — jak uczę doświadczenie — bezkarnie omijać. Każde z tych okresów wyznacza dla siebie specyficzne cele strategiczne, których kolejne osiągnięcie wymaga i czasu i trudów. Tymczasem doświadczenie uczy także, jak skomplikowane i często zawodne jest planowanie nawet okresów pięcioletnich. Równocześnie takie okresy — czy to planistyczne w gospodarce, czy odpowiadające kadencjom międzyzjazdowym w partii — powinny przecież stanowić logiczny ciąg rozwojowy, odzwierciedlać konsekwencje w dążeniu do celów dalszych. Oto odpowiedź na pytanie, dlaczego potrzebny jest program partii.

Nie przypadkiem w projekcie programu znacznie konkretniej jest zarysowane najbliższe pięcioletnie, a ogólniejsze — dalsze lata. Jeszcze bardziej skonkretyzują to pięcioletnie najpierw tezy na zjazd, później już sama uchwała zjazduowa; pokrywa się ona zresztą z kolejnym planem społeczno-gospodarczym.

Dyskusja jest jednak możliwa i potrzebna nie tylko nad tym najbliższym okresem. Od niego wychodząc, można i warto zastanawiać się nad następnymi krokami, nad hierarchią dalszych zamierzeń, nad sposobami kontynuowania drogi, a także — nad takimi metodami przyspieszenia marszu, które wynikają z logicznych przesłanek, nie są „chwiliskim” szukaniem skrótów, nie łamią praw rozwoju ekonomicznego i społecznego.

Dwadzieścia — dwadzieścia pięć lat to w skali życia ludzkiego zmat czasu. Ci, którzy dziś przechodzą na świat będą dorosli, kiedy dobiegnie końca okres objęty programem. Zdarza mi się w tych dniach słyszeć z ust ludzi wcale nie starych: To już nie dla mnie... Może nie dla mnie również, ale z pewnością dla moich dzieci.

(p.h.)

Juika



Huta i ludzie

Grzegorz Chmielewski, Antoni Neczyński

Parę tygodni temu „Wolna Europa” podała informację o stanie

naturalnego środowiska wokół Huty Miedzi „Głogów”. Fakty w niej zawarte

mówiły o szkodliwym wpływie huty na powietrze, ziemię, wody, wreszcie

na zdrowie i samopoczucie mieszkańców okolicznych miejscowości.

Czy jest to powód do protestów MSZ, ostrych polemik i oburzenia?

Nie. Z prostego powodu. Dziesiątki podobnych informacji, nawet bardziej krytycznych, można skleić już choćby na podstawie lektury naszej prasy regionalnej i krajowej. Minęły czasy, kiedy problemy ochrony środowiska były tematem zakazanym. Przeciwnie, zrozumiano, że krytyka może stać się motorem napędzającym wszelkie działania nakierowane na kompleksową ochronę środowiska. Raz po raz ukazują się artykuły analizujące wyniki kolejnych badań, pomiarów, nakreślające krytycznie stan środowiska i potrzeby dotyczące jego ratowania.

Czy budowniczości obydwu głogowskich hut zrobili wszystko, by piękna niegdyś ziemia uciepiała w stopniu minimalnym? Z pewnością nie! Nie ma na świecie podobnego zakładu, który pracuje idealnie, nie szkodzi lasom i polom. Z jednej strony trudno do końca przewidzieć jak sprawnie zadziałają wymyślony przez projektantów system technologiczny, z drugiej zaś poziom wiedzy piętnaście lat temu był znacznie niższy. Poza tym huta głogowska miała produkować zaledwie 80 tysięcy ton miedzi rocznie. W latach następnych wielkość produkcji systematycznie rosła, bo takie były potrzeby gospodarki.

Skutek jest taki, że 2373 hektary ziemi zaliczono do strefy szkodliwego działania hut. W ich obrębie znajduje się pięć wsi, z których należy wysiedlić mieszkańców. Nie można tu hodować zwierząt, skażona jest roślinność, ziemia rodzi skąpo...

Dwie huty wytwarzają rocznie 298 tysięcy ton miedzi elektrolitycznej. Znaczenie tego faktu dla gospodarki krajowej trudno przecenić. Ale jednocześnie przez hutnicze kominy wylatuje 2086 ton pyłów i 186 tys. ton gazów.

Pierwsza huta ruszyła w Głogowie 15 lat temu, w 1971 roku. W 1978 zadymyła piec „dwójki”. Ciekawe jest porównanie obydwu hut. „Jedynka” produkuje 160 tys. ton miedzi i emituje 65 proc. wszystkich pyłów, 48 tys. ton dwutlenku siarki i 129 tys. ton tlenku węgla. „Dwójka” natomiast przy produkcji 138 tys. ton miedzi, wysyła 35 proc. wszystkich pyłów, 8,4 tys. ton SO₂ i 559 ton tlenku węgla. Słusznie zatem przyjęto koncepcję, by maksymalnie zwiększać produkcję „dwójki” na niekorzyść „jedynek”. I tak w ostatnich pięciu latach produkcja jednej huty wzrosła o ponad 46 tys. ton, natomiast drugiej spadła o 11 tys. ton. W tym samym czasie skierowano ogromne środki finansowe na inwestycje z zakresu ochrony środowiska. Zaangażowano najlepszych specjalistów, zaczęto stosować nowoczesne technologie odpylania i filtrowania. Skutki tych działań są oczywiste. Emisja pyłów spadła z 12219 ton rocznie do 2086 ton, czyli zmniejszyła się o 80 procent. Ilość gazów zmniejszyła się z ponad 307 tys. ton do 186 tys. ton.

Czuło się w hucie korzystny klimat dla przedsięwzięć związanych z ochroną środowiska. Dwa lata temu rozmawialiśmy tam z grupą inżynierów, którzy tworząc nieformalny zespół specjalistów, opracowywali i wdrażali jeden po drugim wnioski racjonalizatorskie i wynalazki z zakresu odpylania i filtrowania. Zarabiali na tym duże pieniądze, a hu-

ta placila bez zmużenia oka, bowiem sama zyskiwała jeszcze więcej, placąc zmniejszone kary umowne. Podobnie podchodził się do problemów ekologicznych i dziś.

Długo można pisać o niewątpliwych sukcesach „ochroniarzy”, ale zaciemniloby to dzisiejszy, smutny przecięt, stan naturalnego środowiska w rejonie Głogowa. Ludzie z zewnątrz, okoliczni mieszkańcy, widzą hutę z innej strony, z perspektywy cuchnącego powietrza, marnych plonów, konieczności wymuszonej przeprowadzki. Dzięki hucie senne niegdyś miasteczko zyskało awans społeczny, ludzie dobrze płatne zajęcie, a jednak na tę samą hutę wylewa się najgorsze żale. Z pewnością narzekali byliby mniej, gdyby intensyfikacja działań na rzecz ochrony środowiska nastąpiła wcześniej. Dziś niektórych spraw nie da się już naprawić. Ziemia, powietrze i woda nagromadziły przez 15 lat tyle szkodliwych związków chemicznych, że kuracja potrwa całe dziesięciolecie.

Nie znaczy to, że wokół huty musi być pustynia. Dobre kiedyś, zniszczone dziś ziemie należy sensownie zagospodarować. 176 gospodarzy opuści swe siedliska, na których pracowali przez ostatnie czterdzieści lat. Huta wykupuje pola i budynki. Zagospodarowano już 1.376 hektarów, sadząc lasy, uprawiając rośliny przemysłowe.

Najważniejsze jest jednak ludzkie zdrowie. Praca w hucie natychmiast uwidacznia wszystkie dawne i nowe schorzenia robotników. Najbardziej narażeni na choroby zawodowe są pracownicy odpylni. Jest ich stu. Poddawani są stałe badaniom profilaktycznym. W razie jakichkolwiek zaburzeń, wysyła się ich do ośrodków rehabilitacyjnych. W ubiegłym roku skierowano tam 12 ludzi. Przebywali na kuracjach od trzech do sześciu miesięcy. Rok temu przebadano kompleksowo wszystkich pracowników

huty. Po badaniach 2.400 pracowników przyznano dodatkowe urlopy zdrowotne. Takie badania na szeroką skalę przeprowadzają najczęściej wyspecjalizowane ośrodki zdrowia. W samej hucie na lekarzy ciągle się narzeka. Z ośmiu lekarskich etatów, mimo wielu podejmowanych starań, obsadzone są tylko trzy i pół. Ludzie słusznie się denerwują.

W historii huty zanotowano 21 ewidentnych przypadków chorób zawodowych na skutek pracy w szkodliwych warunkach. W tym było 8 uszkodzeń słuchu, 7 zatruc ołowiem i po jednym przypadku zatrucia miedzią, pylicy, zatrucia tlenkiem węgla, nieżyty górnych dróg oddechowych, zawodowego wyprysku skóry i uszkodzenia mięśnia barkowego. Choć są to pojedyncze przypadki, ich różnorodność świadczy o tym, że duża grupa pracowników jest w większym lub mniejszym stopniu narażona na utratę zdrowia. Badania tysięcy ludzi mieszkających w pobliżu huty nie potwierdziły obiegowych opinii, jakoby dymy i pyły rujnowały zdrowie całej gminy.

W 1985 roku głogowska huta zapłaciła 350 mln zł z tytułu opłat i kar za dewastację środowiska naturalnego. Trzeba doprawdy sporo naśmiecic, by płacić takie sumy. W hucie mówią, że nie stać ich ani na płacenie kar, ani na zanieczyszczanie miejsc, w których przecież sami żyją. Dlatego intensywnie pracuje się nad kolejnymi inwestycjami ograniczającymi wyrzucanie gazów, pyłów i ścieków. W realizacji są dwie odpylne konwertorowe, odpylnia pieca elektrycznego. Modernizuje się fabrykę kwasu siarkowego i ciąg przygotowania wsadu. Trwa budowa oczyszczalni ścieków i systemu zamkniętego obiegu wód przemysłowych, dzięki czemu do Odry nie popłyną ścieki. Obecnie kary za zanieczyszczanie rzek i opłaty za pobór wody są tak wielkie, że ta ostatnia inwestycja zwróci się w niecałe dwa lata.

Z pewnością tendencja do zmniejszania szkodliwości hut będzie się z roku na rok utrzymywać. Najwięksi optymiści muszą jednak patrzeć realnie. Tak wielki obiekt przemysłowy nigdy nie będzie idealnie harmonizował z resztą środowiska. Kominy zawsze będą wypuszczały choćby smutki dymu, a wśród pracowników wystąpią zapewne przypadki chorób zawodowych. Na terenach stref ochronnych — las nie wyrośnie w ciągu kilku lat, a ziemia nie przyswoi ołowiu i miedzi.

Tymczasem w naszym wspólnym interesie patrzeć musimy hutnikom na ręce. A o ochronie środowiska wciąż będziemy mówić i pisać. I zachodnia rożgłośnia ani nas od tego zamiaru nie odwiedzie, ani doń nie zdopinguje.



Bezlitośnie rozbiera się budynki we wsiach znajdujących się w strefie ochronnej huty.

Fot. Jan Bebel

Co mi się należy

W poprzednim numerze „Konkrety” zapowiedzieliśmy przekazanie najbardziej typowych spraw wynikających z przeprowadzanej obecnie waloryzacji rent i emerytur. W poniedziałek i wtorek (3-4 bm.) przy redakcyjnym telefonie dyżurowali przedstawiciele ZUS — zastępca dyrektora oddziału ZUS w Złotorii Ryszard Zak i kierownik Wydziału Przyznawania Emerytur i Rent Zbigniew Wołyniec. W ciągu dwudniowego dyżuru telefon odezwał się 45 razy, zaś redakcję odwiedziło 16 osób zainteresowanych tematyką waloryzacji. O wyjaśnienia prosili nie tylko mieszkańcy województwa legnickiego — było kilka telefonów z Leszczyńskiego, Jeleniogórskiego i Wałbrzyskiego.

Dzwonił żona w imieniu męża, który w 1981 roku przeszedł na emeryturę, pyta czy obejmie go waloryzacja. Odpowiedź brzmiała: — Tak, zarówno podwyżka waloryzacyjna, która wchodzi w życie od 1 marca br., jak i rewaloryzacyjna, która nastąpi 1 września br. Józef K. — inwalida wojenny, posiadający uprawnienia do pobierania renty i emerytury pyta, czy oboje będą świadczenia podlegają waloryzacji. Według przepisów — tak, jeśli zostały przyznane przed 1 stycznia 1985 roku. Jan G. prosi o wyjaśnienie, co to jest współczynnik waloryzacji, według którego oblicza się wysokość podwyżki renty i emerytury. Współczynnik waloryzacji ustalany w każdej decyzji oddziału ZUS oznacza stosunek procentowy wyliczonej kwoty świadczenia do podstawy jej wymiaru bez uwzględnienia dodatku pielęgnacyjnego dla sierot zupełnych i dodatków rodzinnych. Należy przy tym wyjaśnić, że tak zwana podstawa wymiaru oznacza średnie zarobki przed przejściem na emeryturę czy rentę liczone za ostatnie 12 miesięcy zatrudnienia. Przeliczmy: podstawa wymiaru np. II grupy renty inwalidzkiej wynosi 15.000 złotych. Obliczona od tej sumy renta sięgnie kwoty 9.600 złotych. Skąd to się bierze? Rachunek jest prosty. Przyjmując za wartość stałą 3.000 złotych liczymy 55 procent z kwoty 12 tysięcy złotych nadwyżki, co daje w sumie owe 9.600. Ale tę rentę trzeba jeszcze zwaloryzować. Dzielimy 9.600 przez 15.000 i otrzymujemy współczynnik waloryzacji wynoszący 0,64. Od 1 marca br. podstawa wymiaru świadczenia wzrasta o 15 procent, czyli wyniesie 17.250 złotych. Jeśli przemnożymy tę liczbę przez współczynnik waloryzacji — nowa renta wyniesie 11.040 złotych.

Janina P. poszukuje odpowiedzi na pytanie, czy istnieją podstawy do domagania się przeliczenia podstawy wymiaru emerytury przyznanej 15 września 1984 roku, mimo kontynuowania pracy do 31 marca 1985 roku. W tym przypadku waloryzacja nie nastąpi, bowiem granice obliczania średnich zarobków wkraczają w aż trzy miesiące roku 1985. Emeryturę tę waloryzacja obejmie w 1987 roku. Górnik, który nabył prawo do emerytury informuje, że złożył w lutym ub. r. wniosek o jej przyznanie, pomimo kontynuowania pracy. Pyta, czy obejmie go waloryzacja w związku z tym, że prawa emerytalne uzyskał w październiku 1984 roku. Przepisy o wypłacaniu świadczeń tolerują trzymiesięczny okres zwłoki, na jaką może sobie pozwolić osoba ubiegająca się o przyznanie emerytury. Tak więc waloryzacja obejmie i ten przypadek — jako że jeśli od lutego 1985 roku odjął trzy miesiące — za rok przyznania prawa do waloryzacji należy uznać rok 1984.

To zaledwie kilka przykładów spraw zgłaszanych przez naszych Czytelników w czasie redakcyjnego dyżuru. Są one typowe, ale jednocześnie charakterystyczne dla dużym stopniem skomplikowania. To zresztą naturalne, że do redakcji dzwoniły ludzie właśnie z takimi problemami. Na marginesie całej operacji waloryzacyjnej trzeba powiedzieć, że likwidowanie „starego portfela”, nadążanie za inflacją, troska o zachowanie w miarę przyzwoitego poziomu życia ludzi starych lub pokrzywdzonych przez los — nie należą do przedsięwzięć ani łatwych, ani bezkolizyjnych. W województwie legnickim każdego miesiąca renty i emerytury pobiera 82 tysiące osób. Wyplacają je 645 milionów złotych, zaś przeprowadzana obecnie waloryzacja zwiększy je o 97 milionów. Oczywiście zasadne staje się pytanie o koszt całej operacji, czy przypadkiem nie będzie on wyższy od 15-procentowej podwyżki renty i emerytur. Odpowiedź będziemy znali w trzeciej dekadzie kwietnia, w tym czasie planujemy ponowne uruchomienie redakcyjnego dyżuru z udziałem fachowców od ubezpieczeń społecznych.



Odwrotnie niż u nas, problemem na świecie jest nie ilość, ale jakość opakowań tekturowych.

Fot. Krzysztof Raczkowski

TEFA Chojnów 86

Barbara Marcinkowska

Gdybym wiedziała, że II Konferencja TEFA na którą mnie pośpiesznie wysłano, dotyczyć będzie „wytworzenia i przetwarzania tektury falistej” (stąd właśnie te-fa), pewnie bym się przerażała. Ale stało się — pojechałam. I nie żałuję. Przecież temat okazał się po bliższym poznaniu bardzo interesujący. Dotyczy zresztą nie tylko ZWP „Dolpakart” i pozostałych przedsiębiorstw w branży papierniczej. Szacuje się, że aż 90 procent towarów wytworzonych przez różne gałęzie przemysłu wymaga opakowania, z czego połowa to opakowania z papieru, kartonu i tektury. I to nie o byle jakie opakowania chodzi. Wystarczy krytycznym okiem zlustrować nasze wieloletnie sklepowe: to co przyciąga i wabi klienta, to zgrabne, wdzieczne i kolorowe opakowania. Niestety — wyłącznie z importu. Nasze rodzime kartony i pudła raczej odstrasza, niż zachęcają klienta. Na zgrzebnym rynku krajowym (na razie) „pójdzie” wszystko. Ale jak tu szarymi torbami i pudełkami podbić rynki zagraniczne? Pusty śmiech!

Pokróćce warto wspomnieć, co w tej dziedzinie osiągnięto na świecie. Praktycznie wszystkie kraje rozwinięte gospodarczo są samowystarczalne w produkcji opakowań. Nie warto przecież importować tego, co można osiągnąć przy niewielkim nakładzie surowca, a do produkcji tektury wykorzystuje się makulaturę. Odwrotnie niż u nas, problemem na świecie jest nie ilość, ale jakość opakowań tekturowych. Uodpornia się je na zgniatanie, ścieranie, brudzenie, zabezpiecza przed działaniem wody, pary, chemikaliów, tłuszczów, pleśni, insektów... Aż trudno wymienić, co w tej dziedzinie już wymyślono i nad czym się nadal pracuje. Jednym z ważnych elementów opakowania jest jego wygląd zewnętrzny — co oczywiste, spełnia ono także rolę informacyjno-reklamową. Tekturę uszlachetnia się stosując najróżniejsze technologie: w maszynie papierniczej poprzez dodanie środków chemicznych, przez powlekanie białym a następnie zadrukowanym papierem, czy impregnację gotowych opakowań. Na świecie powszechnie stosuje się maszyny i technologie, które pięć lat temu, podczas I Konferencji TEFA — wydawały się techniczną ekstrawagancją. A u nas? Standardem światowym nie odnawia żadna z maszyn produkujących tekturę w kraju...

Na konferencji obecny był Zdzisław Tokarski, wiceminister przemysłu chemicznego i lekkiego, który w przerwie w obradach znalazł chwilę czasu na rozmowę ze mną. Brak opakowań (produkcja własna pokrywa potrzebę w około 60–70 procentach) niekorzystnie odbija się na bilansie w handlu zagranicznym, a także rynku wewnętrznym. Komisja Planowania przy Radzie Ministrów zobowiązała resort do przedsta-

wienia w trybie pilnym programu rozwoju produkcji opakowań. Jest więc realna szansa poprawy.

— Jako planu z konferencji oczekuję informacji, co w tej dziedzinie można osiągnąć przez modernizację przedsiębiorstw i jakie powinny być kierunki rozwoju tej gałęzi przemysłu z uwzględnieniem nowoczesnej techniki — powiedział minister Tokarski. — Są w tym gronie naukowcy i praktycy z około 20 przedsiębiorstw branży papierniczej. Mam nadzieję, że w dyskusji zostaną sprecyzowane konkretne propozycje i wnioski, które resort uwzględni w swoim programie działania.

Drugim powodem przyjazdu ministra Tokarskiego jest „Dolpakart”. Zgodnie z postanowieniem Prezydium Rządu z 1984 roku, opracowuje się koncepcje rozwoju całego przemysłu celulozowo-papierniczego i poszczególnych jego przedsiębiorstw. „Dolpakart” ma oryginalne propozycje, które minister chciałby przedyskutować na miejscu. Ale to odrębne zagadnienie i zajmijmy się nim osobno.

Na konferencję przybyli też przedstawiciele zagranicznych producentów maszyn papierniczych. Stosunkowo tanie i dobre są maszyny włoskie i przedstawiciele firm „Waegelli”, „Legamatic”, „Erba” czy „Dueme” liczą na nowy rynek zbytu. Tak samo, jak przedstawiciel „Nissho-Iwai” z Japonii — żywa reklama swojej potężnej korporacji. Pan Seiji Kamide (general manager European Office), dyskretnie zaznaczył, że w Japonii, kraju posiadającym około 500 zakładów tekturowych (a więc tyle, co w całej Europie), panuje ogromna konkurencja zmuszająca producentów do ciągłego udoskonalania technologii produkcji i podnoszenia jakości wyrobów. Przedstawiciel „Nissho-Iwai”, taktownie omijając problem komputeryzacji tej gałęzi przemysłu i... ceny, zaproponował naszym producentom zmianę technologii produkcji i zakup niektórych maszyn. Przedstawił nawet recepturę sporządzenia kleju skrobiowego — nawiasem mówiąc, takie receptury mamy i powszechnie stosujemy. Pech chciał, że pan Kamide zwiadał nasze przedsiębiorstwa w okresie najbardziej kryzysowym, kiedy to zamiast kleju skrobiowego, z konieczności stosowaliśmy jego zamiennik: szkło wodne. Tym niemniej, słuchając referatu Japończyka, przekonać się mogłam, jak bardzo odlegli jesteśmy od czołówek światowej. I to nie tylko w zakresie produkcji tektury.

Przedstawiłam tutaj migawkę z jednego dnia obrad II Konferencji TEFA. Jeżeli była udana — powinniśmy zobaczyć to wkrótce na półkach sklepowych. Może nie tak od razu — ale miejmy nadzieję, że przestaniemy z czasem wstydząć się naszych siermiężnych opakowań.



(13)

Czelnicy szpitalnego „serialu” przyominają sobie zapewne zwyczajne założenia PRIBO i moją obietnicę spotkania się z jej przedstawicielami. Spotkanie odbyło się w końcu lutego. Załogę Przedsiębiorstwa Robót Instalacyjnych Budownictwa Ogólnego reprezentowali: sekretarz POP, przewodniczący Pracownicej, kierownik grupy robót przedstawiciele brygady pracującej na budowie szpitala, dyrektorzy przedsiębiorstwa. Byli obecni także przedstawiciele Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji, „Budopolu” i brygadziści „Instalu”, a ze strony „Konkretów” wspierał mnie zastępca sekretarza redakcji. Spotkanie miało charakter rzeczowej dyskusji. Zgodnie stwierdziliśmy że łączą nas wspólny cel: budowa szpitala. Wątpliwości rodziły się dopiero, gdy przechodziliśmy do szczegółów.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w kilku kolejnych artykułach z cyklu „Hasło: Szpital!” pisałam o PRIBO jako o niesolidnym podwykonawcy

-zimowa absencja PRIBO na budowie szpitala.

3. Wykonujący szpitalne instalacje pracownicy PRIBO wskazywali na ogromną złożoność prac instalacyjnych, które powinno, jak w przypadku budowy innych tego typu szpitali, wykonywać kilka wyspecjalizowanych przedsiębiorstw.

4. Nie spełniają swojej koordynacyjnej roli Rady Budowy, na co dzień na placu budowy brak pełnomocnika — fachowca, niezależnego od generalnego wykonawcy. (Tutaj odnotowałam głosy protestu ze strony WDJ i „Budopolu”: są przecież obecni stale inspektorzy nadzoru WDJ, kierownik grupy robót „Budopolu”, a raz w tygodniu przyjeżdża na teren budowy projektant z Biura Projektowego Służby Zdrowia. Zgodzono się natomiast z poglądem, że Rada Budowy niewiele w budowie pomaga).

5. Instalacje elektryczne, twierdzą pracownicy PRIBO, są złożonym systemem nerwowym szpitala i nie mogą być wykonywane etapami, jak tego żąda „Budopol”. Ponadto prace instalacyjne utrudnia brak kompletnej dokumentacji i częste jej zmiany. Dla przykładu w budynku I D po zmianie dokumentacji trzeba demontować założone wcześniej instalacje.

6. Przedsiębiorstwo boryka się z niedostatkami materiałów instalacyjnych. W tym roku przydziały armatury przemysłowej potwierdzone są w 30 procentach. Nie ma wydzielonych przydziałów materiałowych na budowę szpitala.

PRIBO ma głos

Agnieszka Szydłowska

który nie chce podjąć się wykonania całości robót instalacyjnych w obiektach szpitalnych, z wykonaniem przyjeżdża z zewnątrz, a okresowo w ogóle nie pojawia się na placu budowy PRIBO uzło takie opinie za krzywdzące, ponieważ:

1. Od czasu rozpoczęcia budowy szpitala PRIBO zastrzegło, że nie jest w stanie podjąć się wykonania całości instalacji szpitalnych. — Przyjeżdżamy na siebie i tak za duży zakres prac. Ucierpi na tym albo szpital, albo budownictwo mieszkaniowe — stwierdził dyrektor Lewandowski. Tak źle i tak niedobrze. Stąd owo „kapryszy nie” i „wybrzydzenie” jak pisałam poprzednio.

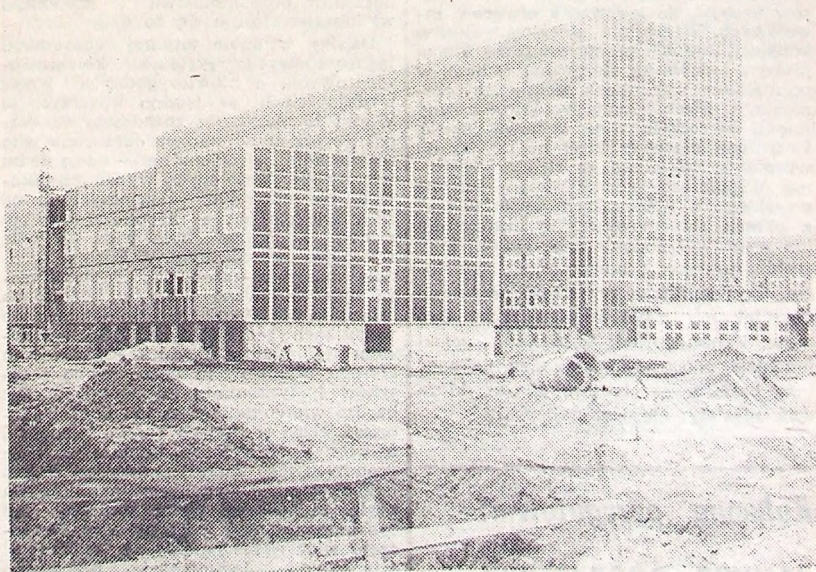
2. Monopolista w zakresie prac instalacyjnych na terenie naszego województwa gra w procesie budowlanym zawsze drugie skrzydło. Instalacje są przecież tylko częścią budynku. Rola niezojczy wdzieczna, bo jest się zależnym nie tylko od potęg ciału własnego i materiałów instalacyjnych, ale także od tzw. frontów robót, które powinien przygotować właściwy wykonawca. Wiadomo na przykład, że „mieszkaniówka” „schodzi” pod koniec roku kalendarzowego. Wtedy PRIBO nie ma wyboru: jeżeli nie skieruje na poszczególne budowy wystarczającej ilości pracowników, opóźni się oddanie budynków mieszkalnych. Stąd okresowa, jestem

7. W tym roku PRIBO chce wykonać instalacje w czterech obiektach szpitalnych: pralni, kuchni, budynku IJ i IH. Najpilniejszym i najbardziej skomplikowanym zadaniem jest wykonanie instalacji w pralni i PRIBO nie jest w stanie wykonać ich samodzielnie bez wsparcia innego przedsiębiorstwa instalacyjnego.

8. Uznając taką potrzebę, PRIBO kieruje „od zaraz” do prac instalacyjnych na budowie szpitala dodatkowo 25 pracowników, co powinno wydatnie wpłynąć na tempo prac — dotychczas było ich zazwyczaj 11.

Tak, w dużym skrócie, przedstawiają się wyjaśnienia i uwagi PRIBO. Wiemy już na pewno, że PRIBO nie wykona całości instalacji szpitalnych, ale otrzymaliśmy zarazem zapewnienie, że załoga przedsiębiorstwa doloży wszelkich starań, aby przyjęty zakres prac wykonać solidnie i terminowo. Jak się nie ma, co się lubi... O ile mi wiadomo, dyrekcja „Budopolu” usilnie poszukuje innych instalatorów spoza województwa...

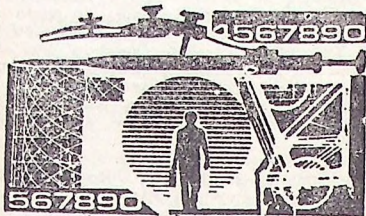
P.S. W najbliższym czasie będziemy prezentować bliżej pracowników różnych przedsiębiorstw pracujących przy budowie szpitala, a wśród nich także załogę PRIBO.”



Od czasu rozpoczęcia budowy szpitala PRIBO zastrzegło, że nie jest w stanie podjąć się wykonania całości instalacji szpitalnych.

Fot. Wincenty Kołodziejki

Wiedza Nauka Technika



Królestwo za... łopatę

Z wyjątkiem ładowania otworów strzałowych materiałem wybuchowym cały proces technologiczny urabiania i transportu rudy miedzi w kopalniach LGOM jest całkowicie zmechanizowany. Totalitaryzm mechanizacyjno-automatyzacyjny rozwinął się do tego stopnia, że kiedy trzeba wykonać jakąś robotę przy użyciu tak prozaicznego narzędzia jak łopata, to po prostu nie ma go skąd wziąć. To nie jest dowcip — to prawda.

Proces mechanizacji wydobycia był jednak nie tylko pochodną rozwoju systemów eksploatacji, ale jego zasadniczym warunkiem. Po prostu bez zastosowania odpowiednich maszyn nie byłoby możliwe wprowadzanie nowatorskich i nowoczesnych technologii górniczych. Dzisiaj wielu młodych górników z niedowierzaniem słucha opowieści, że niegdyś szczytem mechanizacji były ręczne wiertarki i ładowarki zasieprzute firmy „Atlas-Copco”, poruszające się po szynach, a nieco później ciężkie, niemiłe radzieckie PNB3K na gąsienicach. Łopata zaś zawsze znajdowała się na podórzedziu.

Dzisiaj górnik jest operatorem maszyny i to maszyny specjalizowanej. Podstawą rozwoju maszyn był import („Secoma” i „Joy”). Obecnie zakupy zagraniczne spadły do rozmiarów szóstkowych. Krajowy przemysł produkuje całą rodzinę maszyn wierzących, ładujących i odtawczych, a także innych do transportu ludzi i materiałów, paliw i smarów, do obrytki, robienia dużych kęsów urubku, do ładowania otworów załadowych. W grudniu ubiegłego roku, w kopalni „Rudna”, przeprowadzono udaną próbę z ładowarką sterowaną radiem, w normalnych warunkach technicznej eksploatacji. Mechanizacja wydobycia rudy miedzi wkroczyła więc w nową jakość. Uczyniono pierwszy krok na drodze do wycofania człowieka ze strefy zagrożenia. Współczesny górnik nie ma już nic wspólnego z wizerunkiem „pościgowca” z okresu szturmuwoszczyzny, który dla ton wypruwał z siebie żyły. Dzisiaj tony „robi” maszyna i nowoczesna technologia. Czy najbliższa przyszłość przyniesie początek ery robotów górniczych? Być może. Zanim jednak to nastąpi polski przemysł maszynowy powinien pokonać inną barierę — barierę jakości, która dziś, niestety, nie jest najlepsza.

Kolumnę przygotował:
JANUSZ DOBRZAŃSKI

Kiedy w marcu 1957 roku, w okolicach Lubina i Głogowa, odkryto, najbogatsze w Europie, złoża miedzi, radość z posiadania takiego skarbu maciła świadomość, że brak jest właściwego klucza, aby pokonać strzegące go wrota. Oweczesna technika i technologia górnictwa była jedynie kompletem wytrychów. Wielu specjalistów twierdziło, że jeśli nawet uda się przełamać bariery techniczne i udostępnić złoża, to ich eksploatacja będzie niezwykle kosztowna, a wręcz nieopłacalna.

Sceptycyzm był uzasadniony. Miedź zalegała głęboko, średnio około 1000 metrów. Grubość złóż wahała się w dużych granicach od 3 do 20 metrów. Skąły były niezwykle twarde, a warunki geologiczne bardzo zróżnicowane. Wydawało się mało prawdopodobne, aby w tych okolicznościach można było zastosować technologię gwarantującą bezpieczne warunki eksploatacji i znośną ekonomikę wydobycia. Ani krajowa, ani światowa technika górnictwa nie miały nic do zaoferowania — lubińskie złoża nie miały bowiem odpowiedników w skali globalnej. Aby zagwarantować opłacalność wydobycia rudy i w konsekwencji produkcji miedzi należało osiągnąć wydajność rzędu kilku milionów ton rudy rocznie w skali jednej kopalni. Nigdzie na świecie, na głębokościach zbliżonych do jednego kilometra, nie prowadzono eksploatacji górnictwa na tak gigantyczną skalę (z wyjątkiem kopalń węgla) — zamiar wydawał się więc zupełnie absurdalny.

W górnictwie węglowym królował system ścianowy, a fundamentem mechanizacji wydobycia był kombajn. Ta technologia nie nadawała się dla miedzi, gdyż każdy kombajn polamałby sobie zęby na lubińskich dolomitach. W starym zale-

Eksperyment na skale globu

biu miedziowym (kopalnie „Nowy Kościół”, „Lena” i „Konrad” w okolicach Bolesławca) stosowano system ścianowy i materiały wybuchowe jako „narzędzie” urabiające, lecz i tych rozwiązań nie można było przenieść do nowych kopalń. Tutaj występowały zupełnie odmienne warunki geologiczne, a skala potrzeb technicznej eksploatacji, była zupełnie nieporównywalna z rzeczywistością „starego zagłębia”. Stało się jasne, że trzeba poszukiwać zupełnie nowych rozwiązań — przykroć i „uszyć” na miarę systemy eksploatacji, technologii i organizacji wydobycia i techniczne uzbrojenie. Tak rozpoczął się Wielki Eksperyment, który nie tylko spełnił teoretycznie absurdalne zamierzenia, ale wniósł do światowego skarba wiedzy i pragmatyki górniczej ogromne, często wręcz rewolucyjne, rozwiązania i doświadczenia.

Kiedy rozpoczęto budowę kopalni „Lubin” (pierwszej w nowym zagłębiu miedziowym) jej pole B-3 przeznaczono na poligon doświadczalny. I na tym właśnie poligonie wypróbowano większość systemów wydobywczych, które następnie wdrażano do przemysłowej eksploatacji, a lwią ich część, po gruntownej modyfikacji, podporządkowanej stałemu podnoszeniu bezpieczeństwa i ekonomiki wydobycia, stosuje się do dziś.

Dzisiaj, w dobie totalnej supremacji jednoetapowych systemów komorowo-filarowych, o niewiarygodnych wręcz wydajnościach, aż trudno uwierzyć, że Wielki Eksperyment rozpoczął od czegoś, co już przed startem odrzucono jako rozwiązanie nieracjonalne — od systemu ścianowego. Może się to wydać zaskakujące, ale tak było. Rozpoczynanie od zera wiązało się z nieobliczalnym ryzykiem, a „ściana” była bądź co bądź systemem sprawdzonym. W Europie technika komorowo-filarowego urabiania złóż była stosowana tylko w kopalniach żelaza w Lotaryngii, lecz w odmiennych warunkach geologicznych. Stąd też system ten miał w Legnicko-Głogowskim Okręgu Miedziowym liczne grono sceptyków (przynajmniej na początku). Nie bardzo wierzone, aby na tak dużych głębokościach i w skalach bardzo twardych, a więc skłonnych do kumulowania ogromnych mas energii statycznej, można było prowadzić wydobycie na milionową skalę, zachowując pełną kontrolę nad rozkładem ciśnień w górotworze. Rozpoczęto więc eksperymenty z systemami ścianowymi. Jednocześnie pracowano nad technologią komorowo-filarową. Czas pokazał, że ten kierunek poszuki-

wań był strzałem w dziesiątkę. Prace nad systemami ścianowymi zarzucono ostatecznie pod koniec lat 60., albowiem, mimo głębokich modyfikacji, nie udało się wyeliminować ich dwóch zasadniczych wad — małej wydajności i wysokich kosztów. Był to początek rozwoju systemów komorowo-filarowych.

Pierwszy dwuetapowy system komorowo-filarowy z zawalem stropu zastosowano na skalę techniczną w kopalniach „Lubin” i „Polkowice” w latach 1970–72. Fakt ten uznano za rewolucyjny przewrót w technice górnictwa na świecie. Na czym polegał?

Obraz oddziału wydobywczego w tym systemie można porównać do tabliczki czekolady. Z tym, że nasze czekoladowe kostki mają w warunkach kopalni wymiary 25x35 i 30x50 m. Technologia wybierania polega na równomiernym rozbiieraniu poszczególnych kostek — filarów i zawałaniu przestrzeni wyeksploatowanej, przy pomocy tzw. strzelań załadowych. Główną zaletą tej metody jest brak ciśnienia w strefie frontu eksploatacyjnego — a o to chodzi. Dwuetapowość polega zaś na tym, że najpierw rozcina się złoża na kostki a potem wybiera. Rewolucyjność tego sposobu polegała m.in. na bardzo wysokiej wydajności i niskich kosztach. Ale, jak to w górnictwie bywa, i ta rewelacja, po czasie, ujawniła posiadane wady. Okazało się, że przy stosowaniu na ogromną skalę, kiedy eksploatacja górnictwa objęła powierzchnię dziesiątek hektarów, wyprzedzająca rozciągła złóż (pierwszy etap) powoduje wzrost zagrożenia zawałami i tapaniami w strefie roboczej. 2 lipca 1974 roku na oddziale G-21 kopalni „Polkowice” tąpnięcie zabiło czterech ludzi...

Z tragicznej lekcji szybko wyprowadzono wnioski i zastosowano nowe rozwiązania, technologiczne zapobiegające rodzeniu się tego rodzaju zagrożenia. W roku 1975 zaczęto stosować systemy jednoetapowe wolne od tych wad. Rzecz polegała na „kostkowej” metodzie wybierania, lecz bez wyprzedzającej rozciągłości złóż. Ten system oznaczony kryptonimem J-3 (jednoetapowy z trzema rzędami filarów podporowych) stał się drugą rewelacją i znalazł powszechne zastosowanie. Królował niepodzielnie do 1980 roku, kiedy zaczęto wdrażać kolejnego jego odmiany dostosowywane do lokalnych warunków poszczególnych kopalń. Opracowano specjalne technologie eksploatacji dla kopalni „Rudna” (dla złóż o grubości do 20 m) i dla kopalni „Sieroszowice” (złoża 2–3-metrowe, najcieńsze w LGOM) — ale idea została nie zmieniona.

Nieprzypadkiem zagraniczni goście odwiedzający często kopalnię miedzi wyrażają się z wielkim uznaniem o poziomie ich techniki i technologii. Rozwiązania, jakie w nich zastosowano przewyższają w wielu przypadkach poziom światowy, a postęp, jaki uczyniło miedziowe górnictwo jest ogromny. Jeśli na początku lat 70. wydobycie dobowe jednego oddziału wydobywczego nie przekraczało jednego tysiąca ton, to dzisiaj ten poziom jest średnio 2–3 razy wyższy, a w niektórych przypadkach nawet pięciokrotnie! Straty eksploatacyjne spadły w tym samym czasie z 20 i więcej procent do 6–10 proc. Przy tym wszystkim polskie górnictwo miedziowe było i jest dyktatorem światowej „mody”. Sprawili to polscy praktycy i naukowcy.



„Szycie” skały

Nie, to nie jest pomyłka. W kopalniach miedzi rzeczywiście „szyje” się skalę, ale, rzecz jasna, przy użyciu specjalnych „igieł” i „nici”. Właśnie dzięki temu szyciu jedynie w najstarszych wyrobiskach, kopalni „Lubin” czy „Polkowice”, można jeszcze dziś natrafić na tradycyjne rodzaje obudowy górnictwa — luki LP, stojaki, stropiawce. We wszystkich innych króluje tzw. obudowa kotwowa, która na kimś, kto znajdzie się w kopalni pierwszy raz, robi wrażenie... zupełnie braku obudowy. Na stropie, czasem na odciasach, dostrzec można jedynie lby potężnych śrub, przytrzymujących grube stalowe, podkładki. I aż dziw bierze, że to „coś” trzyma. Tymczasem nie tylko trzyma, lecz jest przy okazji najnowocześniejszym, skutecznym i tanim rodzajem obudowy górnictwa.

Skuteczność i zasadę działania obudowy kotwowej możemy ocenić przeprowadzając bardzo prosty eksperyment. Ułożymy kilka kartek papieru maszynowego jedna na drugiej i chwycimy delikatnie za krótsze brzozy spróbujemy go unieść. Nie uda się, bo stosik się ugnie. Próba powiedzie się, gdy kartki zszyjemy np. biurowymi zszywkami do papieru — spowodują one bowiem usztywnienie całej konstrukcji. Nie wiadomo czy wynalazca kotwy górniczej akurat tą drogą dokonał genialnego odkrycia. W każdym razie pomysł się przyjął.

Kotwa to gruby pręt z żeliwa ciągliwego, o długości od 1,6 do 2,6 metra, który wprowadza się do otworu wywierconego w skalę, gdzie zakleszczony spina rozluźnione warstwy górotworu.

Niegdyś taki pręt wytrzymywał ciężar 6–7 ton, dzisiaj udźwignie 10 a nawet 15, ponieważ kotwy także przeszły proces burzliwej ewolucji. Na początku był to pręt z jednego końca rozcięty na dwoje, z drugiego nagwintowany pod nakrętkę. Kotwienie odbywało się ręcznie. W rozcięciu wkładano się stalowy klin, wsuwano do otworu i zakleszczało kotwę poprzez pobijanie ciężkim młotem. Ostatnią czynnością było założenie podkładki, nakrętki i dokręcenie ręcznym kluczem. Zastosowanie głowicy rozprężnej, najpierw dwu- a potem trzylementowej zrewolucjonizowało proces kotwienia, który został całkowicie zmechanizowany. Montaż obudowy odbywa się przy wykorzystaniu maszyny zwanej kotwiarą, a jedyną ręczną czynnością jest wkładanie kotwy w uchwyt wprowadzająco-mocujący. Wydajność, a przede wszystkim jakość montażu jest bardzo wysoka.

Na początku lat 70 zaczęto stosować kotwy wklejane przy pomocy żywic epoksydowych. Był to kolejny kierunek ewolucji namierzony na uzyskanie podwyższonej wytrzymałości. Kotwa wklejana wytrzymuje obciążenie do 15 ton i nie jest podatna na korozję. Z tych względów znalazła zastosowanie przede wszystkim w tzw. wyrobiskach kapitalnych (które trzeba utrzymywać wiele lat) i w trudnych warunkach stropowych. Obecnie wkleja się kilkadziesiąt tysięcy kotew rocznie (przy około 2,6 mln kotew ekspansyjnych). KGHM wyspecjalizował się nawet w produkcji „ładunków” żywicznych, lecz stosowanie tej technologii na szerszą skalę nie wchodzi w rachubę. Kotwa wklejana jest prawie dwukrotnie droższa od standardowej, a komponenty do produkcji ładunków — całkowicie pochodzą z importu.

W kopalniach (prym w „Rudna”) prowadzi się więc eksperymenty z zastosowaniem kotew wklejanych przy pomocy cementów szybkowiążących. Liczne próby dowiodły, że parametry wytrzymałościowe nie ustępują klejom żywicznym. W tej chwili jedynym problemem jest kwestia technologii „wklejania” kotwy. Specjaliści wahają się między dwoma sposobami: suchym ładunkiem (jak w przypadku żywicy epoksydowej) i mokrym w postaci mieszaniny cementowej wtlaczanej bezpośrednio do otworu. Wydaje się, że najbliższą realizacją jest drugi sposób, ponieważ nie wymaga stosowania specjalnych rodzajów cementu i daje stu-procentową gwarancję jakości wklejenia kotwy. Obecnie testowane jest specjalne urządzenie przeznaczone do wtlaczania mieszanek bezpośrednio do otworu. Wyniki są bardzo pomyślne i jest realna nadzieja na zastosowanie tej technologii na skalę techniczną już w przyszłym roku.

Kiedy w czerwcu 1983 roku Uchwała Rady Ministrów usankcjonowała dwustopniową specjalizację inżynierów, skończyły się narzekania na marny i pozbawiony motywacji żywot polskiego inżyniera. Dyskusja, jaka toczyła się przez długie miesiące w światku techniki, była nie tyle konstruktywna, co po prostu informacyjna, ukazująca stan uwarunkowań, w jakich pracował przez lata przeciętny inżynier. Nadzieja na przyszłe lepsze czasy miała być właśnie wspomniana uchwała. Dziś, niemal w trzy lata po jej podjęciu, okazuje się, że z szansy tej skorzystali tylko nieliczni.

Dyskusja nad specjalizacją inżynierską rozwijała się w czasie, kiedy doskonale zdawano sobie sprawę z tego, że nasza gospodarka jest chora, a po to, by kraj mógł spłacić dług zagranicznym kontrahentom i wejść, jako solidny partner w obieg światowej gospodarki, potrzebny nam jest silny, jakościowy i technologiczny skok w górę. Zastanawiano się kto może pomóc w jego dokonaniu. Doskonała praca robotników jest warunkiem nowoczesnej gospodarki, ale przeciętny robotnik, nawet jeśli wydajnie pracuje całą dniówkę, zachowując przy tym wszelkie normy jakościowe, nie jest nośnikiem postępu. Skutkiem jego dobrej pracy jest dobrze wykonany produkt. Gospodarce natomiast potrzeba czegoś więcej. Gra toczy się bowiem o produkcję coraz nowocześniejszą, przy tym materiałowo i energooszczędniejszą. Motorem tego postępu mogą i powinni stać się inżynierowie.

Niestety, z motywacją do twórczej pracy nigdy nie było najlepiej. Wbrew pozorom, badania socjologiczne przeprowadzane w najbardziej uprzemysłowionych krajach świata, a więc tam, gdzie gospodarka pracuje normalnie, wykazały, że wynagrodzenie za pracę nie jest najważniejszym czynnikiem zachęcającym inżyniera do wysiłku umysłowego. Liczy się co innego: możliwość rozwiązywania ciekawych problemów, osiąganie celów technicznych przez nikogo jeszcze nie osiągniętych, wreszcie uznanie środowiska dla rzeczy już przez inżyniera dokonanych.

Ale w sytuacji, w jakiej my się znajdujemy, z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, iż największą motywacją dla twórczej pracy inżyniera jest świadomość, że przyniesie mu ona wymierne efekty finansowe i zawodowe.

Jakkolwiek byśmy jednak wartościowali systemy motywacyjne, prawda jest, iż w rzeczywistości przez długie lata inżynierowie pozbawieni byli prawie zupełnie zrozumienia materialnego, czy moralnego dla swojej pracy twórczej, wykraczającej poza normalne obowiązki.

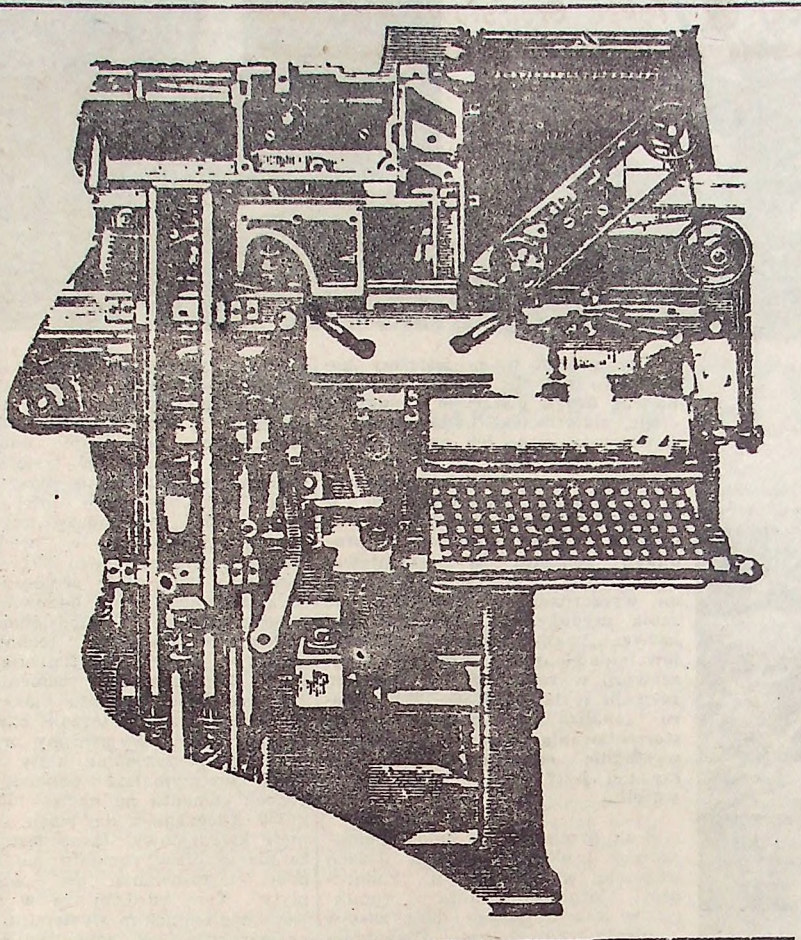
Średnia płaca inżyniera zrównała się ze średnią płacą robotnika, co jest zjawiskiem niezwykle rzadkim na świecie. Jednocześnie nikt przez lata honoraria za nowatorskie opracowania techniczne i cenne kłopoty związane z wdrożeniami wynalazków sprawiły, że inżynierowie szukali dodatkowych źródeł zarobku nie w zawodzie inżynierskim, ale niejako poza nim, zajmując się pomiarami, ekspertyzami i rzeczoznawstwem.

Profesor Janusz Tymowski, prezes honorowy Naczelnej Organizacji Technicznej, który przebywał niedawno w Legnicy, wypowiedział następujący pogląd:

— Zadaniem inżynierów jest wprowadzenie postępu technicznego, co wymaga utrzymywania swoich wiadomości i kwalifikacji na poziomie odpowiadającym rosnącemu poziomowi techniki i odpowiednim nauki. Wymaga to poświęcenia dziennej półtorej do dwóch godzin na studiowanie literatury technicznej. Człowiek, który tego nie robi, po kilkunastu latach będzie już tylko posiadaczem dyplomu inżynierskiego, ale nie inżynierem.

Niestety, posiadacz dyplomu jest w kraju coraz więcej, skutkiem czego liczba wynalazków, projektów racjonalizatorskich i udział rodzimej myśli technicznej w nowych rozwiązaniach jest ciągle niezadowalający.

Dwa fakty miały zadecydować o zmianie tej niezwykle niekorzystnej sytuacji. Pierwszy dotyczył pieniędzy za opracowane i już wdrożone projekty racjonalizatorskie i wynalazcze. Znaczenie podniesiona stawka honorariów autorów wprowadziła pewne ożywienie wśród twórców i choć liczba zgłoszeń nowych rozwiązań technicznych ostatnio wzrosła, generalnej oceny będzie można dokonać dopiero za kilka, kilkanaście miesięcy. Prac projektowych nie robi się przecież z dnia na dzień. Ale i tu dają się zauważyć pewne bariery. Otóż wszystko jest dobrze, dopóki nie trzeba sporządzić listy plac dla twórcy. W tym momencie, o ile honorarium dla inżyniera jest wysokie zadziała każda urzędnicza ręka. Zaczynają się sprawdzania, kontrole, zwykła gra na zwłokę. I nie to, że projekt przyniósł gospodarce narodowej, czy przedsiębiorstwu korzyści zupełnie niewspółmierne do wysokości należnego honorarium. Po prostu, w tym kraju każda większa gotówka była przez ca-



Gdzie ci specjaliści?

Antoni Neczyński

le dziesięciolecie podejrzana i trudno nam się od tego przyzwyczajania wyzwolić.

Dwa najsłynniejsze ostatnio w kraju projekty wynalazcze: inż. Finka dotyczący zmniejszenia zużycia paliwa na statkach i inż. Kowalskiego rewelacyjny gaźnik, zdają się to potwierdzać. W obu przypadkach, mimo zdecydowanie korzystnych wyników prac wdrożeniowych, nastąpiły dziwne perypetie. W obu przypadkach gospodarka krajowa może zyskać bardzo wiele. Ale też w obu przypadkach nagrody dla twórców, zgodnie z obowiązującymi przepisami, liczy się w milionach złotych. I to jest chyba przyczyna perypetii. Dobrze, iż dzięki interwencji władz, sprawy nabrały tempa. Ale władza nie może popychać tysięcy innych mniejszych projektów.

Drugim elementem mającym zachęcić inżynierów do myślenia jest idea specjalizacji zawodowej. Forma dwustopniowej specjalizacji wśród lekarzy istnieje od dziesięcioleci, stała się z jednej strony liczącą zachętą do stałego podnoszenia kwalifikacji zawodowych, z drugiej zaś korzystną formą poziomego awansu lekarzy. Podobna myśl przyświecała ludziom, którzy wymyślili specjalizację inżynierską. Idea zupełnie słusza. Do tej pory bowiem inżynier mógł awansować jedynie poprzez kolejne urzędnicze biurka, stając się kierownikiem działu, zakładem, dyrektorem przedsiębiorstwa. A jeśli nie pasjonowała go praca administracyjna lub nie miał do niej predyspozycji, nie mógł awansować w zawodowej hierarchii. Specjalizacja miała to zmienić. Ludzie parający się twórczą pracą dostali możliwość awansu moralnego i materialnego niejako w poziomie, bez konieczności zmiany charakteru pracy.

Dziś, niemal po trzech latach działa-

nia ustawy, Rada Wojewódzka NOT w Legnicy analizując skutki nowych rozwiązań prawnych, musiała sformułować krytyczne niestety wnioski. Nowe przepisy, mimo sporego rozpropagowania ich w środowisku inżynierskim, nie przyniosły ożywienia, na jakie liczone. Stowarzyszenie specjalistyczne oraz Centrum Doskonalenia Kadr KGHM w Lubinie informują, że ze strony inżynierów daje się zauważyć brak zainteresowania przeprowadzeniem specjalizacji zawodowej.

Ciekawa jest analiza przyczyn tego braku zainteresowania. Otóż inżynierowie są zdania, że sposób postępowania w sprawie zgłaszania wniosków jest zburokratyzowany i sformalizowany. Zdarzają się przypadki, gdzie przedsiębiorstwa, samodzielnie przeciw jednostki gospodarce, w których pracują inżynierowie, nie mają pieniędzy, by płacić dodatki za specjalizację. Proponowane stawki za uzyskanie dyplomu specjalisty są zbyt niskie, nie stanowią tym samym znaczącego elementu motywacyjnego. Co więcej, uważa się powszechnie, że zatrudnienie inżynierów w charakterze rzeczoznawców jest bardziej opłacalne.

Tak więc po raz kolejny okazało się, że znakomita idea, zatrzymana w połowie drogi, przyniosła skutki zupełnie niewspółmierne do oczekiwania.

Na drzwiach każdego pokoju lekarskiego wisi wizytówka zawierająca nie tylko imię i nazwisko lekarza, ale i stopień jego specjalizacji. Jest to tylko zewnętrzna forma wyróżnika. Ale w praktyce, lekarz, który nie zrobi dyplomu specjalisty, nie jest w środowisku poważany. Dopóki podobnej materialnej i moralnej motywacji nie będzie w zawodzie inżynierskim, dobra uchwała pozostanie wyłącznie uchwałą papierową.

Za i przeciw

⊙ W dziedzinie baletu postanowili doskonalić się dwaj aktorzy z wrocławskiego teatru „Misterium”, który zaproszono na warsztaty teatralne, do klubu „Pegaz” w Głogowie. Na godzinę przed początkiem spektaklu wybrali się oni na „balety” (alkoholowe rzecz jasna) i gdy wrócili (mocno spóźnieni) okazało się, że mogą spać, a nie grać. Łza się w butelce kręci — gdy przypomni się dawne, jeszcze amatorskie, lecz jak świetne przedstawienia „Misterium” — choćby „Biesy” wg Dostojewskiego. Dziś prawie — zawodowy teatr nie bulwersuje już widzów odważnymi tekstowo i obyczajowo sztukami — a tylko niepoważnymi „występami” w terenie. A szkoda.

⊙ Na wojewódzkie eliminacje Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki (które odbyły się przed dwoma tygodniami w Jaworze) udało się zakwalifikować dwóch zespołom punkowym. Jeden z nich wprawił jury w zakłopotanie, ponieważ nie było wiadomo, czy to co gra jest pastiszem, czy też muzyką. Niestety, okazało się, że prawdziwe jest to drugie... Niebýt wyrozumiałe potraktowano natomiast zespół „Strefa Destrukcji”, który musi ćwiczyc w garażu, bo nikt mu nie chce udostępnić sali. Czyżby kierownicy, świecących pustkami klubów (adresy znane redakcji) boją się punk-rocka? Więcej odwagi panowie — agresywne uderzenia w gitarę i perkusję to naprawdę nic zdrożnego. Przypomnijcie sobie biadania rodziców i nauczycieli, gdy „pióra” przykrywały wam czubki uszu lub kołnierzyki...

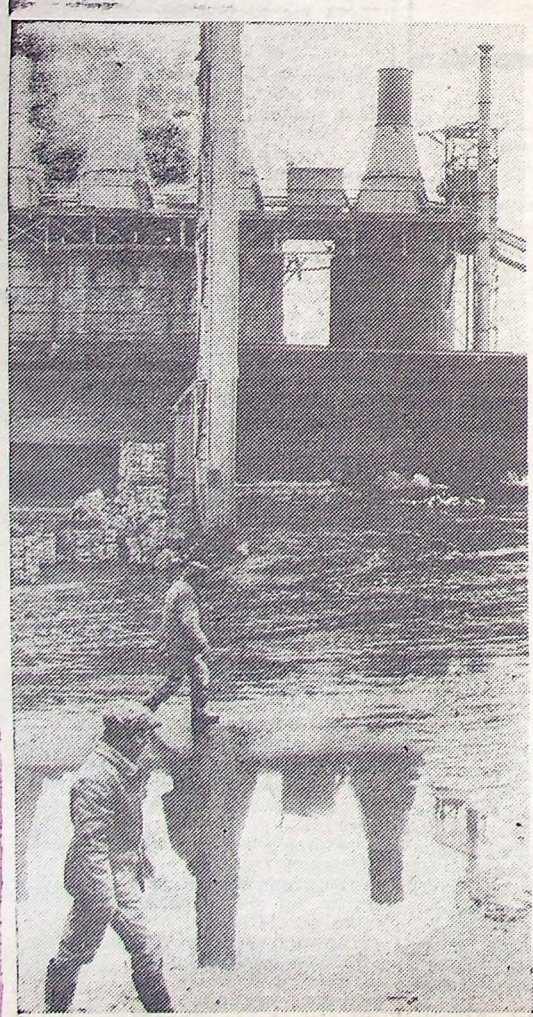
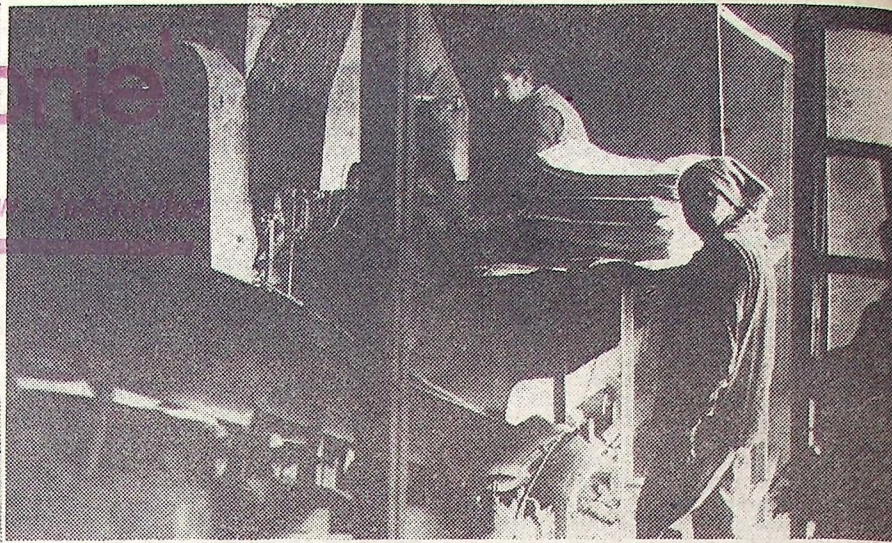
⊙ Nieliczni legnicki jazzmani mogą nie zdejmować nauszników wiosną ani latem. Wszystko wskazuje na to, że nie powtórzą się już złote lata swingu w Akademii Rycerskiej. Na koncerty przychodziło bowiem ostatnio najwyżej 20–30 osób. A trudno wymagać od organizatorów imprez, żeby stale dopłacali. Zapowiada się nudny (koncertowo) okres, bo przecież publiczność najbardziej lubi „muzykę do kotleta”. Nawet wschodząca gwiazda — Edyta G. — chyba następnym razem już nie zapetni sali, bo jak twierdzą nasi eksperci w dziedzinie paniedytowego śpiewania — na ostatnich recitalach w Legnickim udowodniła ona, że oddala się (od kotleta) zmierzając prosto w kierunku Sztuki. A jak wiadomo to „S”, w warunkach reformy, nie bardzo chce się samofinansować...

⊙ Do legnickiej, zabytkowej palmiarni od dawna już „wstęp wzbroniony”, bo grozi zawaleniem. Mijamy nadzieję, że działania Towarzystwa Miłośników Legnicy w tej (ponoć beznadziejnej) sprawie — przyniosą jednak wyniki. W innym wypadku egzotyczne rośliny będzie już można oglądać tylko w... LCK. Pełno tam różnych fikusów i rododendronów, które w dodatku stanowią prywatną własność jednej z pracownic LCK.

(S-ka)

Aerobic na betonie

Zdjęcia: Janusz Budnicki Tekst: Bronisław Jankowski



Czy wiemy, w co jesteśmy bogaci? To pytanie zadaje sobie już po raz drugi, pisząc o budownictwie, materiałach budowlanych i wykorzystaniu do ich produkcji lokalnych surowców. W dokumencie wydanym przez Wydział Budownictwa Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy czytamy: „Istniejąca baza wapieni i margli, służących do produkcji cementu w cementowni „Podgrodzie” w Raciborowicach jest na wyczerpaniu i przewiduje się zanik produkcji...”. Dokument nosi nazwę: „Analiza produkcji materiałów budowlanych z surowców miejscowych w roku 1985 i program rozwoju w latach 1986–1990”. Skoro „analiza” i „program” — to sformułowania te powinny stanowić wykładnię odpowiedzialności. Ale czy tak jest? Fakty kaza w to wątpić...

Brak krzemionki w udokumentowanych i eksploatowanych złożach wapienia w cementowni „Podgrodzie” istotnie eliminował z produkcji w latach 70-tych duże zasoby kamienia wapiennego. Prawdopodobnie w związku z ówczesną technologią wytwarzania cementu narodził się pogląd o zakładanym w „programie” zaniku produkcji cementu. Taki pogląd jest w administracji wojewódzkiej prezentowany do dzisiaj, chociaż nikt nie zdaje się brać pod uwagę, że już w roku 1981 wprowadzono w cementowni „Podgrodzie” nową technologię, która pozwoliła na całkowite wykorzystanie uboższego w krzemionkę kamienia wapiennego. Polega ona na zastosowaniu w produkcji cementu makułki pokaolinowej zawierającej 98 procent krzemionki. Mulek sprowadza się z Olszyczki i Nowogrodzka (woj. jeleniogórskie). Według najnowszych ekspertyz geologicznych przydatne do wytwarzania cementu złoża kamienia wapiennego sięgają 27 milionów ton, co przy dzisiejszym wydobyciu (200 tysięcy ton rocznie) oznacza, że starczy ich na 88 lat...

Jak jest zatem z wiarygodnością oficjalnych dokumentów? To pytanie jest tym bardziej zasadne, kiedy zdać sobie sprawę, że wyznacza ono sposób patrzenia na rozwój niektórych gałęzi przemysłu. Jeśli podtrzymuje się stwierdzenia o wyczerpanych złożach wapienia — to jednocześnie skazuje się na zagładę jedyną na Dolnym Śląsku cemen-

townię Tymczasem logiczne przesłanki skłaniają do czegoś wręcz przeciwnego. Ten najstarszy i najmniejszy w Polsce zakład branży cementowej potrzebuje oddechu. Produkuje rocznie 200 tysięcy ton cementu — przeważnie klasy „25”. Prócz tego niewielkie ilości klasy „15” i „35”. „Podgrodzie” jest krajowym monopolistą w produkcji wapna hydratyzowanego (60 tys. ton). Dostarcza lwia część cementu wykorzystywanego w budownictwie jednorodzinnym. Przedsiębiorstwa budowlane stosujące technologie „wielkiej płyty” nie figurują na liście kontrahentów cementowni. Znikome ilości cementu klasy „35” z „Podgrodzia” skutecznie eliminują ją z rynku. Wyjaśnijmy przy okazji, że poszczególne klasy oznaczają wytrzymałość odpowiednich próbek cementu na nacisk 150 250 i 350 kilogramów na jeden centymetr kwadratowy. Jasne jest więc, że niższe klasy cementu nie mogą mieć zastosowania do „wielkiej płyty”. Tym bardziej że w województwie legnickim występują szkody górnicze, co zobowiązuje do większej dbałości o zachowanie rezerw technologicznych.

MODERNIZACJA?

28 lutego br. minister budownictwa Józef Niewiadomski spotkał się z aktywem cementowni „Podgrodzie”. Wstępne ustalenia pozwalają przypuszczać, że już w niedługim czasie zapadną decyzje przedłużające żywot zakładu. Ale sprawa nie jest łatwa. Ministerstwo jeszcze w 1983 roku zaproponowało cementowni zaprzestanie produkcji cementu na rzecz wytwarzania wapna palonego. Zabieg ten łączyłby się z koniecznością przebudowy pieców klinkierowych. Koszt tej operacji znacznie przewyższałby sfinansowanie zupełnie nowych, supernowoczesnych pieców do produkcji wapna. W tej sytuacji należało zasięgnąć pomocy Biura Projektów Przemysłu Cementowego. Opinia jest następująca: Zainstalowanie w „Podgrodziu” czterech nowych pieców do wypalania wapna pozwoli zwiększyć jego produkcję o 80 tysięcy ton rocznie. Zyski z tego tytułu wpłyną na znaczną poprawę stopy rentowności zakładu, która dzisiaj, niestety, wynosi poniżej 10 procent, czyli nie zapewnia opłacalności. Efekt mógłby być podwójny

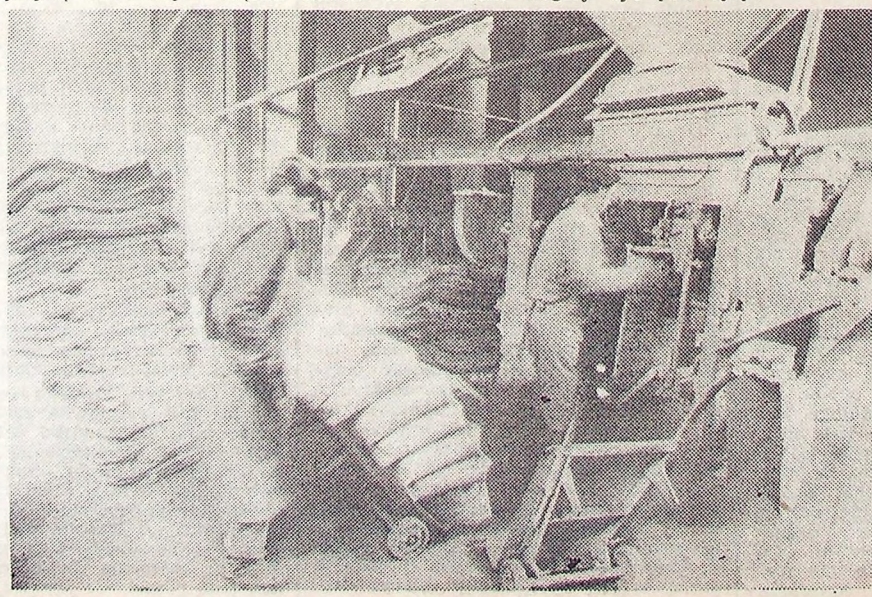
— w ciągu trzech lat można by własnymi środkami pokryć koszty modernizacji (300 mln zł) ciągu technologicznego produkcji cementu. Należy wybudować magazyny do przechowywania surowca o różnej zawartości wapienia — wyposażonych w dozowniki, które mogą zapewnić parametry technologiczne do wytwarzania cementu klasy „35”. Ponadto trzeba zainstalować nowe dmuchawy do pieców służących do wypalania klinkieru — półproduktu, stanowiącego podstawę produkcji cementu, zbudować młyn, skład suwnicowy, który posłuży m.in. do badania poszczególnych partii cementu pod względem jego wytrzymałości na ściskanie. W sumie modernizacja powinna stworzyć możliwość zwiększenia produkcji cementu klasy „35” przynajmniej o połowę, zaś globalny tonaż wyniosłby 300 tysięcy. Gra warta jest świeczki...

KONCERT ŻYCZEŃ?

Nic z tych rzeczy. Od 1981 roku, pomimo wielkich trudności z zapewnieniem energii — zwłaszcza w ubiegłym roku — cementownia wydała na modernizację około 100 milionów złotych. O tę samą kwotę zmniejszono koszty produkcji. Znacznie zmniejszono opłaty uiszczane z powodu zatrucia środowiska. Obecnie, dzięki zastosowaniu urządzeń odpylających, wypulaje się 95–98 procent pyłów wysyłanych dotychczas bezkarnie w atmosferę. Warto zauważyć, że limit emisji wynosi 204 kilogramy na godzinę, zaś jego przekroczenie powoduje czterokrotne zwiększenie opłat, które obecnie kształtują się na poziomie 60 groszy za kilogram pyłów. Urządzenia odpylające pozwalają na odzyskanie w ciągu roku 6 tysięcy ton cementu i 1,5 tysiąca ton wapna.

☆

Dla zakładu zatrudniającego 470 pracowników kwestia postępu technicznego jest jedną z ważniejszych. Jeszcze w 1983 roku w cementowni pracowało 600 osób. Dziś brakuje 50 osób. Ale produkcja nie spada, i są wszelkie powody, by myśleć, że znacznie wzrośnie. Wbrew przewidywaniom i projektom Wydziału Budownictwa UW.



Obejście wygląda zupełnie typowo. Budynki ustawione w czworobok — dom mieszkalny, stodoła, obora i chlewy, podobne do tysięcy przedwojennych gospodarstw rozrzuconych na ziemiach zachodnich. Ich architektura od czasów pierwszego właściciela nie zmieniła się wiele. Wybito w murze większe okna, by dzieci nie psuły sobie oczu, zrobiono nową elewację domu i solidne metalowe ogrodzenie gospodarstwa. Dzięki tym ulepszeniom, całość prezentuje się może nie okazale, ale jakoś po gospodarsku — widać, że solidny chłop tu mieszka.

Zresztą, cała wieś zadbana. Bucze, jak i reszta gminy Grębocice, posadowione na ciężkich, dobrych ziemiach. A jeśli do dobrej ziemi przyłożyć pracowite ręce, daje plony bogate. Wiedza o tym wszyscy w tej wsi w tej gminie. Dlatego każdy wolny hektar ziemi budzi pożądanie. Na gospodarstwo oddane państwu za rentę, czeka wielu chętnych.

wpisze gdzie trzeba. Tu we wsi Bucze myśli się innymi kategoriami. Mieszkańcy zrobili coś sami, dla siebie. Mają satysfakcję. To wystarczy.

O pozostałe osiem arów zaczął się spór, kiedy Sysiak postanowił budować i zwozić potrzebne materiały. Nagle okazało się, że to „ziemia wioskowa”, a uprawiana jest od czterdziestu lat bezprawnie. Bezprawnie, bo bez podatków.

Pierwsze podanie o formalne kupno ziemi zginęło bez wieści. Drugie pismo, złożone jesienią ubiegłego roku wywołało lekkie poruszenie. Sysiakowi kazano zasięgnąć informacji geodezyjnej, rada sołecka zgłosiła formalny sprzeciw.

Geodeci w Głogowie orzekli, że ziemia nie jest już „wioskowa”, lecz znajduje się na koncie Państwowego Funduszu Ziemi i jako taka może być w każdej chwili sprzedana. Sprzeciw rady sołeckiej był natomiast stanowczy i opierał się na zasadzie: „lepiej nie dać”. Ktoś z rady sołeckiej przypomniał, że

zadecydują wszyscy razem, czy każdy z osobna. I wobec braku perspektyw na porządne wiejskie zebranie („ludzie teraz nie przejmują się zebraniem”), zaczął zbierać podpisy.

Na górze kartki napisał: „Do Urzędu Gminy w Grębocicach. Upiejęmie informuję o kupnie działki leżącej we wsi Bucze o powierzchni 0,08 ha, która leży wzdłuż mojej posiadłości. Czy wyrażacie zgodę na kupno działki? Podpisz osoby, które wyrażają zgodę na kupno”.

Pod tym, różnymi charakterami pisma 54 podpisy i popierająca opinia Gminnego Komitetu ZSL. Zabrakło czterech nazwisk — członków rady sołeckiej.

Mimo niemal jednogłośnej zgody mieszkańców wsi, zabiegi okazały się bezcelowe. W Urzędzie Gminy powiedziano Sysiakowi, że takie pismo jest nieważne. — „Podpisy mogą być sfałszowane”.

Osiem setnych hektara

Antoni Neczyński

Mróż od tygodni trzyma krzepko. Między domem mieszkalnym Sysiaka a jego stodołą, tuż za psią budą, jest gnojowisko. Miastowy może przejść przez gnojowisko tylko w taki mroźny dzień. Mieszkanina zgłębienie ściółki i krowiego łajna, gnojówki i śniegu nie przykleja się do butów. Przechodzimy tedy raz i drugi. W porządku. Franciszek Sysiak przemierza ten szlak już od dwudziestu lat. Zimą i latem, w każdą pogodę. Już się przyzwyczaili. Ale jego dzieci, choć nie boją się pracy, nie chcą tak chodzić. Synowie przyjęli posady w mieście. Jak wybudujesz porządną, nowoczesną świnia, wrócimy — powiedział.

Za gnojowiskiem rozciąga się niewielkie pole. Wszystkiego osiem arów, osiem setnych hektara. Najlepsze miejsce na postawienie świnia.

Franciszek Sysiak przyjechał do Bucza z centralnej Polski. Dwadzieścia lat temu. Za Warszawą zostawił rodzinę pracującą na skrawku nieurodzajnej ziemi. Tam bez szans, tu na ziemiach zachodnich miał choć nadzieję. Imał się różnych zawodów, wreszcie postanowił osiąść na roli.

To zaniebane gospodarstwo kupił za osiemdziesiąt tysięcy. „Dawniej, panie, to było dużo pieniędzy” — wspomni dzisiaj swoje wyrzeczenia. „Jak to wszystko wyglądało: ziemia zapuszczona, w chlewach pusto, maszyn żadnych, a w domu okna małe, zakratowane, jak w więzieniu” — wspomni jego żona.

Powoli stawał na nogi. Rok w rok przewracał ziemię, by dawała lepsze plony. Inwentarzem zapełnił chlewy, w części stodoły ustawiał coraz to nowe maszyny. Nie narzekał. Dawał ziemi wszystko, co miał najlepszego — codzienną pracę, życiowe doświadczenie, szacunek. Nie jest umęczonym bohaterem nowej epoki, o jakich pisze się w gazetach. Przeciwnie — pogodny zadowolony.

Ziemia wynagradza trud. Franciszek Sysiak z hektara ziemi uzyskuje pięćset metrów buraków.

Kto osiąga pięćset metrów jest dobrym rolnikiem.

Ze starych czasów pozostało mu zaufanie do młocarni. Kiedy inni wpuszczają na swoje pola kombajny, Sysiak spokojnie kosi sнопowiązalką, by do kilku tygodniach wymlócić zboże w stodołę.

Chcąc przekonać mnie, co do nowej świnia, pokazuje swoje bydło i trzodę. W starych, ciemnych pomieszczeniach zwierzęta leżą ściśnięte i brudne. Pozostaje tylko tyle miejsca, by wejść z karmą i wynieść gnój. Przed każdymi drzwiami małe odstojniki na gnojówkę. Codziennie trzeba je opróżniać wiadrami. I to jest właśnie najgorsze. Synowie robią wszystko, co w gospodarstwie należy zrobić, oprócz tej jednej czynności. Sysiak mówi, że właśnie dlatego poszli za robotą do miasta. Trudno się młodym dziwić — dodaje.

Kawałek, na którym ma powstać nowa chlewnia był kiedyś większy — 18 arów. Ale wieś nie miała sklepu, a miejsce było dogodne. Dziesięć arów przeznaczono pod handel. Rada sołecka wezwała do pracy społecznej, ludzie dobrowolnie opodatkowali się, solidarnie poświęcali czas na wznoszenie murów. I powstał obiekt jak w porządnej gminie.

Kiedy ludzie w miastach robią takie rzeczy, zaraz znajdzie się ktoś odpowiedzialny, kto załatwi order, a czyn

już kiedyś był pomysł wybudowania we wsi remizy strażackiej, a miejsce sporne jest poręczne. Tyle tylko, że mimo podejmowanych prób, nie udało się powołać ochotników do straży. Trudno. Jeśli nie remizę, motywowano, to może dom nauczyciela? Szkoła we wsi co prawda tylko czteroklasowa, ale może się rozrośnie.

Protest spowodował tyle, iż naczelnik zgodnie z zasadami demokracji, zdał się na decyzję ogólnego zebrania wsi. Takie zebranie zawsze postanawia komu sprzedać wolną ziemię i naczelnicy najczęściej wolę ludu respektują.

Zaden inny gospodarz nie reflektował na ten skrawek ziemi.

Na pierwsze rozpisane w wiosce zebranie przyszło dziesięć osób i ze względu na brak frekwencji nie odbyło się.

Na drugie zebranie przyszło siedem osób. Skutek ten sam.

Jeśli wszyscy mają zadecydować o tym, czy wolno mi kupić tę ziemię — myślał Sysiak — to chyba obojętne, czy

Sprawa więc stoi, a budowlane plany nie mogą być zrealizowane. Pieniądze odłożone czekają („nie lubię brać kredytów”), pięciu mężczyzn w rodzinie gotowych na każde skinienie. A wiosna tuż. Najlepszy czas na budowę. Wróca synowie, będą gospodarzami.

W szkolnym budynku, w nauczycielskim mieszkaniu, rozmawiamy z jednym z sygnatariuszy protestu, członkiem rady sołeckiej, Szczepańskim. Między spornymi stronami nie ma kłótni, bo w zasadzie nie ma się o co kłócić.

Szczepański mówi: „Dysponentem działki jest rada sołecka, ale decyzję musi podjąć cała wioska” (...) „Będzie trzecie zebranie, może będzie większa frekwencja.” (...) „Wszystko jest na dobrej drodze, żeby Sysiak działkę dostał, ale wszystko wymaga czasu i formalności.” (...) „Nie widzę problemu, by sprawę załatwić w te, czy w tę stronę”.

Nie widzę problemu.
W tę czy w tę stronę.



Sprzeciw rady sołeckiej był natomiast stanowczy i opierał się na zasadzie: „lepiej nie dać”.
Fot. Krzysztof Raczowskiak

Melina

Anna Borska

Przeczekal dobrą chwilę, aby tamci mężczyźni mogli rozgościć się w mieszkaniu. Potem wszedł na pierwsze piętro. Zapukał do drzwi na wprost. Po chwili na progu stanęła kobieta w średnim wieku. Wpuściła go do przedpokoju. Poprosił o pół litra. Podala butelkę „Vistuli”, wymieniając przy tym cenę: 800 złotych. Kiedy chwila do portmonetki otrzymane pieniądze, a klient jakby marudził z wyjściem, znów zapukał do drzwi. Ostro, energicznie...

— OTWIERAĆ! MILICJA!

Dla właścicielki mieszkania ten dzień okazał się najbardziej pechowym dniem w jej dotychczasowym życiu. W kuchni, nad rozpoczętą półlitrowką siedzieli właśnie stali klienci. Zwracający z wyjściem klient okazał się funkcjonariuszem MO, placącym banknotami o spisanych wcześniej numerach. Na dodatkę do domu było trochę alkoholu i od razu wiedziała, że trzeba się będzie trochę pogimnastykować, aby wytłumaczyć przyczynę chomikowania kilkunastu butelek...

Przez wiele następnych tygodni, jak ulica Głogowska długa i szeroka, wszędzie mówiono tylko o tym, jak wpadła „Góralka” — taki bowiem pseudonim nosiła właścicielka tej znanej w Legnicy meliny.

— Nareszcie ją złapali! Nareszcie będzie spokój! — cieszyli się ci, dla których melina „Góralki” zawsze była uciążliwym sąsiedztwem.

☆

Każde zjawisko przestępcze jest oczywiście wynikiem oddziaływania różnych czynników, a nie jedynie skutkiem osobowości sprawcy. Także i w tym przypadku na powstanie meliny wpływ miały zjawiska społeczno-gospodarcze. „Góralka” rozpoczęła swoją działalność mniej więcej w czasie, gdy wprowadzono sprzedaż alkoholu na kartki.

Jednym alkoholowy kuponik był zupełnie niepotrzebny, dla innych oznaczał zaledwie kropkę w morzu potrzeb. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji kwadracik papieru stał się przedmiotem handlu i wymiany.

I właśnie wtedy pojawiła się „Góralka”. Coraz większe grono wiedziało, że na Głogowskiej, pod czterdziestym drugim, pierwsze piętro, drzwi na wprost, spragnionych... napoją.

OSTRZEŻENIE

Czas mijał... Zniesiono kartki... Weszła w życie ustawa z października 1982 roku o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Prawdopodobnie „Góralka” tyle to obchodziło co zeszłoroczny śnieg... Trudno zresztą było zrezygnować z łatwych pieniędzy.

Interes kwitł więc nadal, a wieść o melinie — a był już 1984 rok — zaczęła zataczać jeszcze szersze kręgi. Wreszcie dotarła i do organów ścigania, które prędko zdobyły niezbędne dowody świadczące, że „Góralka” handluje alkoholem, że systematycznie prowadzi swą nielegalną działalność.

I wtedy właśnie weszła w życie amnestia „Góralka” skorzystała z jej dobrodziejstwa. Prokuratura Rejonowa w Legnicy umorzyła postępowanie...

Bez wątpienia był to jednak poważny sygnał ostrzegawczy i — jak to się zwykło mówić — szansa na powrót do uczciwego życia. Ale „Góralka” ani myślała o jakiegokolwiek zmianie. Nadal widywano ją z torbami pełnymi butelek. Nadal o każdej porze dnia i nocy po kamienicy snuli się pijani mężczyźni, nie zawsze pukający do właściwych drzwi.

Największy ruch panował do południa, do czasu otwarcia sklepów monopolowych. Nie brakowało chętnych także nocą, po zamknięciu pobliskiego „Hermesa”. Nie odmawiała nikomu. Towaru przecież nie brakowało. Sprze-

dawała „na wynos” i „na miejscu”. Ten ostatni sposób wydawał się jej nawet bezpieczniejszy. Ostatecznie każdemu wolno przyjmować gości...

MILION

Z zeznań świadków wynika, że każdego dnia „Góralka” miała kilkunastu klientów. Na każdej półlitrowce zarabiała prawie 250 złotych... Krążyła fama, że miesięcznie zarabia na nielegalnym procederze w granicach dwustu tysięcy.

W czasie rewizji w jej mieszkaniu znaleziono m.in. milion złotych w bonach lokacyjnych po 25 tysięcy każdy sto tysięcy w banknotach oraz cztery nowiutkie magnetofony kasetowe.

Najbardziej, prawdę mówiąc, frapujący jest ów milion. „Góralka” powie o nim, że pochodzi z ciężkiej pracy na wsi, u rodziny i z oszczędnego życia. Ale trudno w to uwierzyć, nawet przy wykazaniu maksimum dobrej woli. Bo i w jaki sposób szwaczka-chalupniczka z „Milany”, mająca na utrzymaniu męża i dwoje dzieci (15 i 5 lat), mogła poczynić milionowe oszczędności z ledwie 15-tysięcznej pensji?

„Góralka” konsekwentnie, do końca, nie przyznawała się do winy. Zaklinała się, że wszystko jest wymysłem zawistnych sąsiadów. Sugerowała, że bez wątpienia są oni w zмовie z milicją, która się na niej mści.

Niewiele jednak pomogło odegranie roli pracowitej, oszczędnej, niewinnej ofiary powszechnej niechęci. Zeznania świadków i dowody były jednoznaczne.

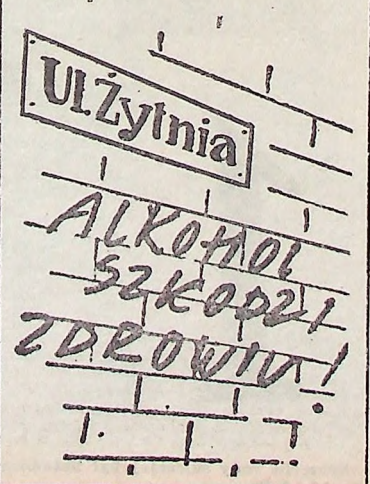
Sąd Rejonowy w Legnicy skazał „Góralkę” na rok pozbawienia wolności, pięćset tysięcy złotych grzywny oraz przepadek na rzecz Skarbu Państwa zakwestionowanych w jej mieszkaniu dowodów rzeczowych (w tym owego miliona w bonach oszczędnościowych).

„Góralka” odwołała się od tego wyroku. Sąd Wojewódzki utrzymał jednak w mocy zaskarżony wyrok, zasądzając ponadto od „Góralki” na rzecz skarbu państwa koszty postępowania rewizyjnego w wysokości 103 tysięcy złotych.

W uzasadnieniu wyroku czytamy:

„Wymierzona oskarżonej kara pozbawienia wolności i grzywna ze względu na znaczne rozmiary przestępczej działalności, nie może uchodzić za rażąco surową”. A wymierzono ją także „ku przestrodze innym i w celu kolejnego podkreślenia stanowczej walki z przestępczością, alkoholizmem i ludźmi osiągniętymi ogromne zyski w drodze przestępczej działalności”.

Juika



(18)

Nie było spokoju na ziemi głogowskiej po śmierci księcia Henryka IV. Tym razem obyło się wprawdzie bez skomplikowanych podziałów dziedzictwa, bo zmarły książę pozostawił po sobie tylko jednego spadkobiercę — swojego syna Henryka V. Tyle, że faktycznie pozostał temu synowi tylko połowę dziedzictwa. Całe księstwo głogowskie, którego połowa przypadła mu w spadku po Przemku, zajęte było przez wojska czeskie i rządził tam w imieniu króla czeskiego Jana Luksemburskiego początkowo Jan ścinawski, później Henryk jaworski, a na koniec Bolesław III legnicko-brzeski. Wróćmy jednak do Henryka V.

Henryk V, jedyny syn Henryka IV Wiernego, urodził się przypuszczalnie pomiędzy 1312 a 1321 rokiem, był więc już w chwili śmierci ojca człowiekiem dorosłym i mógł samodzielnie objąć władzę. A że charakter miał twardy, postępowal bezwzględnie i zdecydowanie, jego poddani nadali mu przydomek Ze-

Henryk V Żelazny

Janusz Chutkowski

lazny. Tak też i my będziemy go nazywać.

Dziedzictwo głogowskie musiało być bardzo drogie księciu Henrykowi, może zresztą działały tu wspomnienia z dzieciństwa, może przywiązanie do kolebki rodu, doś, że pierwszą sprawą którą zajął się młody władca było odzyskanie tej utraconej części ojcowizny. Nie złożył hołdu Janowi Luksemburskiemu, zebrał wojska i wyruszył na podbój Głogowa. Jak pisał Długosz: „Henryk, tak bardzo bolał nad krzywdą ojca, że dla odzyskania połowy miasta Głogowa ciągłymi walkami i napadami gniebił króla czeskiego Jana i jego syna Karola, który po nim objął tron królewski... król czeski Karol uznał za konieczne przybycie ze znacznym wojskiem z pomocą zaczepianym już dawno przez Henryka mieszczanom głogowskim”. Zaczęła się więc wojna pomiędzy tymi, tak nierównymi przeciwnikami, ale pamiętajmy, że to jeszcze średniowiecze, że walczą ze sobą zakuci w żelazo rycerze, że decyduje siła fizyczna, zręczność i odwaga i nawet takie nierówne wojny mogły się zakończyć sukcesem.

Walczą więc Henryk Żelazny o zdobycie Głogowa ze zmiennym szczęściem. Tymczasem niespodziewanie został zaatakowany przez drugiego przeciwnika, w tym wypadku nawet groźniejszego niż Karol. Przeciwnikiem tym był król polski Kazimierz Wielki. Oddajmy jednak głos naszemu największemu kronikarzowi — Janowi Długoszowi. Pisz on: „A przyczyna wojny była następująca. Zajął swego czasu dziad wspomnianego Henryka, książę głogowski i zagański Henryk — kiedy król polski Władysław przez wiele lat był zajęty licznymi wojnami, a zwłaszcza tymi, którymi go gniebili Krzyżacy — miasto Wschowę i związany z nim okręg, należący od dawna do Królestwa Polskiego. Jego zajęcie przez wiele lat uchodziło mu bezkarnie. Kiedy król Kazimierz raz po raz przez posłów i przez listy dopominał się u niego o jego zwrot, dawał pełne puchy, opryskliwe odpowiedzi, twierdząc, że raczej zdecyduje się na najgorsze, niż z niego ustąpi. Przeto król Kazimierz obległ najpierw miasto Wschowę, a szturmując je przez wiele dni wszystkimi sposobami, kiedy żołnierze wysłani przez księcia zagańskiego nie mogli mu stawić oporu, po przerwaniu i zburzeniu murów, zdobywa je... Po zagarnięciu tam niemałej liczby jeńców i zajęciu również pod swoje panowanie miasta i całej ziemi wschowskiej poprowadził wojsko do księstwa zagańskiego. Zdobywa miasto i zamek Ścinawę, zwane po polsku Cienawą... Nadto kazał możliwie najdalej rozprzestrzenieć pustoszenie osiedli, wsi i wszelkich mało znanych miast, a grody i mniejsze miasta ograbić i spalić”.

Jakże kręte są drogi historii. Jeden Piast, król Kazimierz, napada na drugiego Piasta, księcia Henryka, w chwili gdy ten walczy z królem czeskim. Polskie wojska pustoszą ziemię zamieszkaną przez Polaków. Płoną miasta i wsie, gi-

nie bezbronna ludność. O tym też musimy pamiętać. W naszych dziejach nie raz sprawdzały się tragiczne strofy: „Z dymem pożarów...”.

Henryk Żelazny został zwyciężony. Nie widząc innego wyjścia wysłał do króla Kazimierza posłów, którzy „przedstawili pokorne prośby, błagając go żeby oszczędził smutne, nieszczęśliwe resztki”. Ostatecznie król Kazimierz ustąpił ze Śląska zadowolając się przyłączeniem do Polski ziemi wschowskiej, która pozostała w jej granicach aż do pierwszego rozbioru. Przybyłemu do jego obozu Henrykowi Żelaznemu i jego stryjkom miał odpowiedzieć: „Bądźcie lepszej myśli, bo waszymi pokornymi słowami rozbroiliście całkowicie mój gniew. Na wasze prośby daję wam oczyszczoną ziemię zagańską należącą tytułem spadku do was, ale prawem wojennym do mnie i daruję wam krzywdę, jakiej doznałem od was przez zagarnięcie powiatu i miasta Wschowa”. Widać z tego, że Kazimierz Wielki nie chciał zrazić sobie ostatecznie głogowczyków. Tego samego nie chciał również i król czeski i w dniu 7 czerwca 1344 roku oddał księciu Henrykowi połowę księstwa głogowskiego w zamian za co ten złożył mu hołd lenny.

Odtąd książę Henryk pozostawał w kręgu wpływów dworu czeskiego. Szczególnie zaprzyjaźnił się z młodym królem Karolem IV. Przebywał na jego dworze w Pradze, podróżował z nim i oddawał mu liczne usługi dyplomatyczne. Cieszył



Henryk V Żelazny i jego synowie.

się też sympatią władcy czeskiego, który nie szczędził mu obietnic w zamian za wierną służbę. W 1359 r. przekazał mu nawet dalszą część głogowskiego dziedzictwa, a nadto udzielił Henrykowi Żelaznemu poparcia, kiedy ten usiłował opanować, po śmierci swego teścia Wacława, księstwo płockie. Jednakże stanowcza postawa Kazimierza Wielkiego zapobiegła temu.

Henryk Żelazny nadal trzymał się swojego suwerena Karola IV. Wziął udział w wyprawie do Rzymu, gdzie z rąk Karola otrzymał pas rzymski. Stamtąd wyruszył wraz z Mikołajem ziębicem do Palestyny. Po powrocie zaczął rozszerzać swoje posiadłości gromadząc w różny sposób ziemię pograniczną. Wprawdzie wcześniejsze próby odzyskania Wschowy nie powiodły się, bo obłożone, jesienią 1345 r., miasto bronili się dzielnie. Licząc na to, że w ramach państwa polskiego uzyska rozległe rynki zbytu dla swoich wyrobów włókienniczych, co też się stało. Jednak zbrojnie, przez zakupy i drogą spadku udało mu się opanować Nowogród Odrzański, Ryczyn, Międzyrzecz, połowę Ścinawy, Chobieni, Bołkowie i Wrociszów oraz połowę Góry Śląskiej. Po uzyskaniu tych nabytków Henryk stał się jednym z potężniejszych książąt na Śląsku. Zdawałoby się, że powinien być zadowolony. Władal rozległym i dobrze już zagospodarowanym księstwem, cieszył się przyjaźnią potężnego władcy króla i cesarza Karola IV, a i z Kazimierzem Wielkim stosunki układały się zadowalająco. Nie doceniamy jednak ambicji tego księcia i jego żelaznego uporu w dążeniu do realizacji swoich celów politycznych.

Ale o tym, o dalszych losach księcia Henryka Żelaznego i jego córki księżniczki głogowskiej i królowej Polski Jadwidze, powiemy już w następnym odcinku.

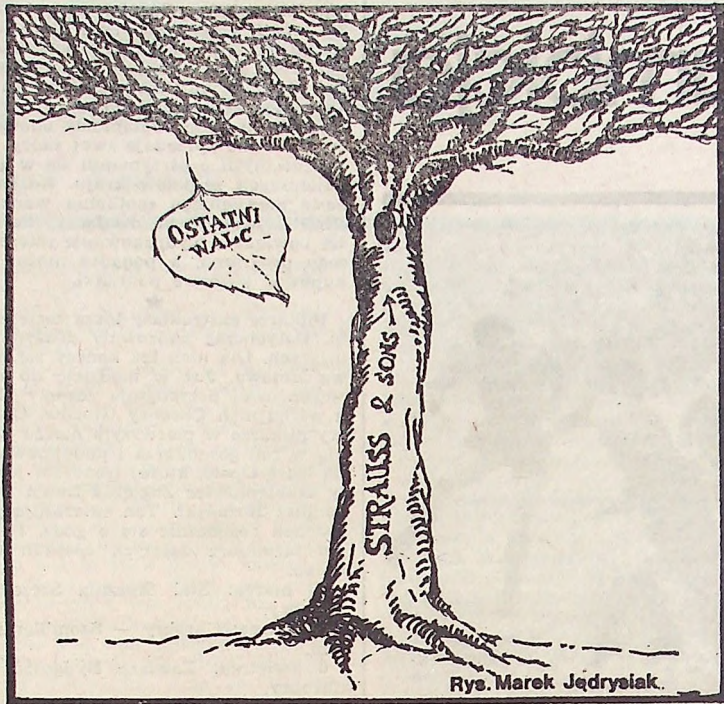
Chodzi — rzecz jasna — o Johanna Straussa, znanego pod pseudonimem organizacyjnym „Król walcu”. Doprawdy dziwna jest droga życiowa tego tańca. Na przełomie XVIII i XIX wieku pewien teolog grzmiał z ambony: „Walc tworzy koło, w środku którego tkwi szatan!”. A lokalna rada miejska wydała edykt: „Kto podczas tańca będzie się obracał w kółko — ma być pojmany i ukarany grzywną”. Zakazała go caryca Katarzyna, znana skądinąd miłośniczka różnych swawoli. Wyklęto go na dworze pruskim.

Później — nie pierwszy i nie ostatni raz zostało udowodnione, że nie ma takich zakazów, których nie dałoby się złamać, lub bodaj tylko ominąć. Walc przelotczył się przez całutki świat, podobając wszystkie jego zakątki (no, może z wyjątkiem rejonów podbiegunowych).

Z czasem walc przestał być nowinką, przyjmowaną z aplauzem ale i odrobiną zgorszenia, by wreszcie stać się tym, czym jest: szacowną klasyką, która niebawem odejdzie do lamusa historii, jak menuet, gawot, czy kadryl. Za paręnaście lat walca będzie można zobaczyć jedynie na studniówce, jako drugi taniec obowiązkowy, po polonezie. Podkreślam — jeszcze troszkę, a walca nikt nie będzie tańczył, bo... nie będzie umiał.

Jakaż bowiem była funkcja tak tanga jak i walca? Zabawa, zabawą ale kryło się pod nią działanie taktyczno-strategiczne, czyli skrócenie dystansu do „przeciwnika”. Był to przecież czas nader pruderyjny i koniecznie trzeba było coś wymyślić; jakiś system tajemnych znaków, niedostępnych oczom ciotek-przyzwoltek. Przypomnijmy, że jedną z funkcji KAŻDEGO tańca jest jego funkcja erotyczna, a przynajmniej sugerująca taki zamiar (jeśli nie liczyć tańca wojennego, choć i tutaj... zważywszy co tańczący chcą zrobić przeciwnikowi).

Do takich zabawnych walosków doprowadziła mnie piątkowa audycja w telewizorze. Już pomijam, że program pt. „Bez próby” od niejakiego czasu idzie z częściowego playbacku, co jakby



Strauss na drzewo

Jerzy J. Kaczmarek

się kłóciło z tytułem, ale niech tam. Program nosił podtytuł: „Karnawał dziecięcy” i generalnie był poświęcony dziecięcemu konkursowi tańca towarzyskiego, z zupełnie dorosłym programem: tańce klasyczne (walc, tango), tańce latynoamerykańskie (m.in. cha cha, passo doble) i taniec współczesny (rock and roll).

Pominę w tym miejscu opis strojów taneczek, choć irytują mnie trzynastoletnie Lolitki, odziane jak czterdziestoletnie Lolicidia.

Istotniejsze jest to, że zarówno w grupie wiekowej do lat 10 jak i starszej (do 13) najslabiej wypadły właśnie tań-

ce klasyczne. Złość ogarniała człowieka, gdy patrzył na te smętne ruchy, zwane walcem czy tangiem. Już, już, chciałem odejść od telewizora, gdy zauważyłem, że dzieciaki radykalnie się przeobraziły w tańcach latynoamerykańskich. Jakby nie te same. Ktoś, wnioskując z tego co powiedziałem, o erotycznej funkcji tańca, mógłby zawyrokować, że dzieciaki JESZCZE nie wiedzą o co „się rozchodzi”. Oj, wiedzą, wiedzą, a widać to było wyraźnie w choćby cha cha. Mnie staremu, oczy na wierzch wyszły i na nitkach zawisły. Jedna Lolitka wywijala, że ho ho...

A prawdziwe szaleństwo zaczęło się przy rock and rollu. Te pokorne i nieporadne automaciki walcowe właśnie w rocku udowodniły, że... młodzież nam szybko dojrzewa.

One — te dzieci — jak się wydaje, kompletnie nie czują tańców klasycznych, które jeszcze dla naszych rodziców (a po części i dla nas) były solą każdego balu.

No, cóż. Koedukacja robi swoje. Bez obaw, lęków i stresów. Tango czy walc nie jest już warunkiem koniecznym i wystarczającym dla „rozpoznania wstępnym bojem” chęci partnera(ki). To się obecnie załatwia w całkiem inny sposób.

Znak czasu w którym żyjemy? Chyba jednak tak. Mam taką wizję (widzenie), że już niedługo te tańce, które nie tak dawno były widomym znakiem ingerencji szatana we wszystkie nasze ziemskie sprawy, staną się czcigodnym reliktem, przypominanym jedynie przez profesjonalne zespoły pieśni i tańca, w ramach wiązanek tańców różnych epok.

A co z samym Straussem? Czy rzeczywiście na drzewo go? Przesada. Muzyka pozostanie. Zaginą jedynie te dziwaczne ruchy dwojga ludzi, towarzyszące np. „Opowieściom laski wiedeńskiej” czy „Wiedeńskiej krwi”. Choćby dlatego, że naszemu pokoleniu krew krąży znacznie szybciej. I w całkiem innym rytmie. To udowodnił program „Bez próby”.



Zdziesiątkowany PAPA DANCE.

Fot. Jerzy Płoński

Notki

❖ Uważnym czytelnikom ROCKONESANSU w tym momencie powinna szczególnie opaść na podłogę ze zdumienia. Nie dość bowiem, że będzie o PAPA DANCE, to jeszcze proponuję najnowsze zdjęcie zespołu. Tak, tak Drodzy Miłośnicy PD, nie mylą Was oczy. Tych dwóch!!! facetów to właśnie nowe PAPA DANCE. Od początku roku pod firmą PD występują: Konstanty „Dino” Joradis (l. 21) i Paweł Stasiak (l. 18). Rzecz jasna, tak na koncertach jak i w studiu, duetowi będzie towarzyszyć sekcja rytmiczna.

A co właściwie stało się ze starym składem? Na to pytanie odpowiada pismo, które otrzymałem od kierownictwa artystycznego PD. Mówi ono m.in.: „Zmiany te są podyktowane nowymi założeniami artystyczno-programowymi oraz konfliktami panującymi wewnątrz zespołu, co uniemożliwiło dalszą współpracę. Nieodpowiedzialne zachowanie niektórych członków dotychczasowego PAPA DANCE podważało dobre imię zespołu, jak i nasz osobisty autorytet zawodowy. Pragniemy poinformować, że nie mamy nic wspólnego z próbami kontynuowania działalności koncertowej wykluczonych muzyków po dniu 1 stycznia br. pod bezprawnie wykorzystywaną nazwą”.

Tak więc, praktycznie mamy dwa PAPA DANCE, lecz — sądząc z dokumentów, prawowitym właścicielem nazwy jest trójka: Sławomir Wesolowski, Mariusz Zabrodzki i Adam Patoh, która firmuje zespół pokazany na fotografii. Nie wiem czy nie obejdzie się bez procesu. Precedens prawny już jest. Wszak

podobna historia wydarzyła się swego czasu dwóm składom ALIBABEK.

❖ Otrzymałem wzruszający list brniący Krzysztofa Krawczyka przed niejakim Jerzym J. Kaczmakiem, który śmiało go zaatakował tekstem pt. „Wykopuję topór wojenny”. Miła Brigidko, daruj mi proszę, ale zmarnowałaś czas na pisanie listów i pieniądze na znaczki. Nie zmienię swego stanowiska, bo ja o materialista nie znoszę cudów. A czy nie jest cudem, że Krawczyk po CZTERECH miesiącach pobytu w kraju zostaje obwołany PIOSENKARZEM ROKU przez „Panoramę”? To, że Krawczyk będzie „wielki”, było wiadomo długo wcześniej, nim nagrał choć kilka taktów po powrocie. Teraz to widać znacznie wyraźniej niż wtedy, gdy pisałem wspomniany tekst. A ja? Cóż, poza tym, że jestem materialistą, to także nie wierzę w ekshumacje, biorące się od, tak, same z siebie. Widziałem już w swoim długim życiu sporo usiłowań powrotu, ale tak naprawdę, siłą potężnego talentu, udało się to jedynie „babci” Tinie Turner. Bo w gruncie rzeczy nie o Krawczyka chodzi, tylko o zastępstwo. Rock won, niech żyje Giżowska, Eleni i Krawczyk. Ja zaczekam. Miałem rację z powrotem „boskiego” K.K. Sądę też, że się nie mylę, jeżeli chodzi o powrót rocka. Krawczyk może go tylko nieznacznie opóźnić, ale nie zastąpić.

❖ Teraz będzie naprawdę śmiesznie! Oto już po raz trzeci organizatorzy łódzkiego ROCKOWISKA przekładają termin imprezy (na kwiecień). Zawsze miałem tych facetów za zawodowców, więc zadzwoniłem po wyjaśnienie. Czego się dowiedziałem? Że pożarnicy mają zastrzeżenia do występu grup rockowych na terenie lodowiska. A „Mazowsze” to może? Wszak gdy ono tańczy to aż iskry lecą. Radzę zacząć od maja i zrobić imprezę na wolnym powietrzu. Tylko czy wtedy nie oburzy się Liga Ochrony Przyrody? Ze „szarpidrutu” depczą trawę?

Zagłębie - Ruch 2:0

Pomogła ambicja

Zygmunt Łuszczyński



Prawie przez całe 90 minut gospodarze byli zespołem lepszym...

Fot. Wincenty Kołodziejczyk

Trwa dobra passa lubińskich piłkarzy, a trener Grzegorz Szerszenowicz może mówić o szczęśliwej ręce. Lubinianie wystartowali do wiosennych pojedynków z dużym rozmachem i w dwóch pierwszych meczach zdobyli trzy punkty. Najpierw popisali się remisem z Lechem Poznań i to na wyjeździe, a w tydzień później nie dali szans chorzowskiemu Ruchowi. O meczu w Poznaniu różnie się mówiło i pisało. Można było nawet wyzywać, że wynik został z góry ustalony. W Poznaniu goście długo prowadzili 1:0 i dopiero na kilka minut przed końcem spotkania padło wyrównanie dla gospodarzy. Z wielkim zainteresowaniem czekano — nie tylko w Lubinie — na mecz z „niebieskimi”. Chciano się zorientować czy poznański remis był dziełem przypadku, czy też świadczył o dobrym przygotowaniu zagłębiaków do sezonu i „złapaniu” wysokiej formy.

Pomimo niezbyt sprzyjającej aury na stadionie zgromadziło się około 15 tysięcy kibiców, a wśród nich liczne grono członków klubu kibica, które gorąco dopingowało swoją drużynę. Ci, którzy przyszli na lubiński gigant nie zawiedli się i byli świadkami efektownego i w pełni zasłużonego zwycięstwa lubinian. Prawie przez całe 90 minut gospodarze byli zespołem lepszym i oni też nadawali ton boiskowym wydarzeniom. W przeciwnieństwie do nich goście, w których szeregach znalazło się wielu znanych piłkarzy nieczym specjalnym nie zaimponowali. Obserwatorów pojedynku bardzo ucieszyła postawa Zbigniewa Stelmasiaka. Dużo się kiedyś mówiło o nieudanym zakupie tego zawodnika. Stelmasiak rzeczywiście grał nie najlepiej. Po zimowej przerwie zmienił się nie do poznania. W dwóch meczach strzelił dwie bramki, a w niedzielnym spotkaniu — obok najlepszego na boisku Krzysztofa Budki — należał do wyróżniających się i widocznych przez cały mecz zawodników.

Zanim rozpoczął się ten ciekawy pojedynek byliśmy świadkami miłej uroczystości. Dyrektor Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego Stanisław Gołąb, w towarzystwie prezesa Okręgowego Związku Piłki Nożnej Piotra Czał i prezesa Wojewódzkiej Federacji Sportu Jerzego Juszcza w ręce Romanowi Mądramu podał dwa puchary. Jeden jako laureatowi plebiscytu „Konkrety” na najlepszych sportowców województwa

legnickiego w ubiegłym roku, a drugi (fundatorem był legnicki OZPN) jako najlepszemu piłkarzowi województwa. Potem sędzia spotkania Andrzej Ordyński z Kielc rozpoczął pojedynek, w którym drużyny wystąpiły w składach: Zagłębie: Krzysztof Koszarski, Roman Mądramowski, Krzysztof Budka, Zdzisław Pietrzykowski, Andrzej Turkowski, Marian Kowalski, Eugeniusz Ptak, Zbigniew Stelmasiak, Romuald Kujawa, Piotr Krakowski (od 65 min. — Janusz Kubot), Sławomir Kurant (od 82 min. — Adam Zejer — nowy nabytek Zagłębia ze Stomilu Olsztyn).

Ruch: Janusz Jójko, Waldemar Fornalik, Waldemar Waleczek, Jacek Chorzewski (od 65 min. — Henryk Pałka), Mirosław Jaworski, Mieczysław Szewczyk, Krzysztof Warzycha, Józef Nowak, Dariusz Fornalak, Grzegorz Waliczek, Mirosław Bąk (od 77 min. — Grzegorz Kapica). Żółte kartki otrzymali Warzycha z Ruchu i Zejer z Zagłębia.

W pierwszej połowie nie oglądaliśmy specjalnie ciekawej gry, a obie drużyny popisywały się nieporadnymi zagraniami na grząskiej murawie. Gospodarze zaatakowali z impetem i w 7 minucie ostro strzelił Turkowski, ale piłka przeszła obok słupka. Potem w 18 min. silnym strzałem popisał się Fornalak, a w pięć minut później skopiował go Jaworski. W obu przypadkach na posterunku znalazł się bramkarz gospodarzy i wynik nie uległ zmianie. W 35 min. doskonałą okazję zmarnował Turkowski. Miał strzelić z 16 metrów, podał piłkę koledze i na tym się skończyło. Na cztery minuty przed końcem pierwszej połowy Warzycha strzelił obok słupka. Były to w zasadzie wszystkie, zasługujące na uwagę akcje obu drużyn.

W przerwie meczu niektórzy mówili, że pojedynek zakończy się bezbramkowym rezultatem. Mocno się jednak zawiedli, gdyż w tej fazie gry gospodarze pokazali na co ich stać w tym meczu. O wyniku końcowym zdecydowały dosłownie dwie minuty — 52 i 54, w których zagłębiacy zdobyli dwie bramki i ustalili ostateczny wynik pojedynku. Zdobywcą pierwszej bramki okazał się Stelmasiak. Najpierw Krakowski „uruchomił” Ptaka. Ten ostro strzelił, ale piłka odbiła się od Jójki. Moment ten przytomnie wykorzystał Stelmasiak i nie dał żadnym szans bramkarzowi gości. W dwie minuty później nie zmarnował okazji Kurant. Znalazł się na dogodnej

pozycji i ładnie wymanewrował Jójkę. Ten sam piłkarz mógł jeszcze podwyższyć rezultat w 59 minucie, ale strzelił nad poprzeczką. Gospodarze prowadząc 2:0 zaczęli grać rozsądnie i wyraźnie oszczędzali siły na dalsze spotkania. Do ich stylu dopasował się przeciwnik i w ten sposób wynik nie uległ już zmianie. Tak więc skazywany na spadek z ekstraklasy lubiński beniaminek udowodnił, że łatwo nie sprzedaje swej skóry i poważnie myśli o utrzymaniu się w gronie najlepszych zespołów kraju. Na marginesie niedzielnego spotkania warto pochwalić klubowych działaczy. Postarali się bowiem o wydrukowanie interesującego programu, a ponadto można było kupować klubowe pamiątki.

★ Piłkarze ekstraklasy toczą zacięte walki. Dotychczas pauzowały drużyny klas niższych. Dla nich też kończy się przerwa zimowa. Już w niedzielę do rundy rewanżowej przystępują zespoły II ligi, a wśród nich Chrobry Głogów. Głogowscy piłkarze w pierwszym meczu wystąpią w roli gospodarza i podejmować będą Odrę Opole, której trenerem jest były szkoleniowiec Zagłębia Lubin — Eugeniusz Różański. Ten interesujący pojedynek rozpocznie się o godz. 14.30. A oto terminarz dalszych spotkań Chrobrego:

23 marca: Stal Stocznia Szczecin — Chrobry,

30 marca: Chrobry — Szombierki Bytom,

6 kwietnia: Zawisza Bydgoszcz — Chrobry,

13 kwietnia: Chrobry — Piast Gliwice,

20 kwietnia: Chrobry — Zagłębie Wałbrzych,

27 kwietnia: Radomiak — Chrobry,

4 maja: Chrobry — Śląz Wrocław,

11 maja: Moto Jelcz Olawa — Chrobry,

18 maja: Chrobry — Olimpia Poznań,

25 maja (sobota): Arka Gdynia — Chrobry,

1 czerwca: Chrobry — Odra Wodzisław,

8 czerwca: Gwardia Warszawa — Chrobry,

15 czerwca: Chrobry — Dozamet Nowa Sól,

22 czerwca: GKS Jastrzębie — Chrobry.

Z ostatniej chwili

Cenny remis

Kolejnym sprawdzianem formy zagłębiaków był środowy mecz w Szczecinie. Podopieczni trenera Grzegorza Szerszenowicza i tym razem nie zawiedli uzyskując cenny remis z będącą „na fali” Pogonią. Przez cały mecz toczyła się zacięta i nieustępliwa walka. Zagłębie zastosowało krótkie krycie i ta taktyka wybiła z rytmu gospodarzy. Mecz nie stał wprawdzie na zbyt wysokim poziomie, ale trzymał widzów w ciągłym napięciu.

Dzięki zwycięstwu nad Ruchem Lubin przestał być czerwona latarnia ligowej tabeli, a punkt zdobyty w Szczecinie sprawił, że Zagłębie z 15 punktami awansowało na 13 pozycję i wyprzedza jednym punktem Bałtyk, Motor Lublin i Zagłębie Sosnowiec. Ustupuje tylko gorszą różnicą bramek Lechii Gdańsk i ma coraz bardziej realne szanse na utrzymanie się w I lidze. W tym miejscu warto przytoczyć wypowiedź trenera Szerszenowicza po meczu w Szczecinie, który nie bez kozery i pewnej złośliwości powiedział: „Przepraszam, że znowu sprawiliśmy niespodziankę, nam bowiem wygrać lub remisować nie wolno. Gdy to czynimy w prasie pojawiają się różne podteksty sugerujące grę nie fair”.

W sobotę kolejne emocje na lubińskim stadionie. O godzinie 15.30 Zagłębie podejmie lidera rozgrywek — warszawską Legię. Miejmy nadzieję, że postara się o kolejną niespodziankę.

(ZL)

Krótko

▲ Okręgowy Związek Tenisa Stołowego we Wrocławiu dokonał weryfikacji pierwszej rundy rozgrywek o wejście do II ligi kobiet. W tabeli prowadzi Zapien Jelenia Góra, który w dziesięciu meczach zgromadził 18 punktów. Tuż za nim, z takim samym dorobkiem, znajdują się rezerwy Zagłębia Lubin i Śląz Wrocław. Drugi przedstawiciel województwa — LZS Zimna Woda, z dwupunktowym dorobkiem zajmuje przedostatnie miejsce w tabeli. W całej rundzie punkty dla Zagłębia zdobyli: Monika Sulej — 37,5, Luiza Kurzawa — 37, Beata Posońska — 16,5 i Helena Koziol — 3, a dla LZS Zimna Woda: Danuta Zięba — 6,5, Roma Romanowska — 6, Bożena Sędzikowska — 5,5 oraz Agnieszka Romanowska — 1.

▲ W spotkaniach drugiej rundy rozgrywek o wejście do II ligi tenisa stołowego zespół LZS Raszkówka przegrał 5:13 z Victorią Wałbrzych, a punkty zdobyli Artur Hankus i Wiesław Zjawin po 1,5 oraz Ryszard Niemiec i Andrzej Mielnik — po 1. W drugim meczu Górnik Polkowice zremisował 9:9, na wyjeździe, z Victorią II Wałbrzych. W meczu tym punkty dla Górnika zdobyli: Sławomir Słowiński — 3,5, Andrzej Wesolowski — 3, Grzegorz Słowiński — 1,5 i Andrzej Stępa — 1. W trzecim pojedynku drużyna LZS Raszkówka przegrała ze Zrywem Zielona Góra 2:16. Oba punkty zdobył Ryszard Niemiec. W tabeli prowadzi Granit Strzelin, Górnik Polkowice zajmuje czwarte, a LZS Raszkówka ostatnie, siódme miejsce.

▲ Duży sukces odnieśli młodzi szachiści Chrobrego Głogów, którzy awansowali do II ligi juniorów. W decydującym turnieju, rozegranym w Głogowie, pewnie wygrali gospodarze, którzy zdobyli 20 punktów na 24 możliwe do zdobycia. Dalsze miejsca zajęli: Tęcza Kościan — 12, MKS MDK Śródmieście Wrocław — 10, 4. Wicher Zbąszyń — 10. Drużyna głogowska wystąpiła w składzie: Artur Pieniążek, Piotr Zahorski, Adam Kaldus, Przemysław Skalik, Tomasz Turski, Urszula Broda oraz Agnieszka i Katarzyna Majewskie. Trenerem był Ryszard Jurowicz. W ten sposób zespół postarał się o piękny prezent na 40-lecie klubu i dziesięciolecie sekcji.

▲ W dniach 12—16 marca br. również w Głogowie, odbędzie się turniej szachowy o wejście do II ligi seniorów, w którym wystąpią: Chrobry Głogów, Maraton Wrocław, Hetman Wschowa, Górnik Wałbrzych i Zastal Zielona Góra. Natomiast w dniach 22—23 marca w Głogowie odbędzie się wojewódzka spartakiada młodzieży do lat 19.

▲ Przed tygodniem pisaliśmy o zdobyciu mistrzostwa kraju w grze podwójnej kobiet przez tenisistkę stołową Zagłębia Lubin — Dorotę Djańczyką. Ostatnio otrzymaliśmy pełny komunikat z mistrzostw kraju, rozegranych w Warszawie. Oto lokaty zawodniczek i zawodników Zagłębia: gra pojedyncza kobiet — 17—20: Dorota Djańczyka i Helena Koziol; gra pojedyncza mężczyzn — 15: Leszek Goliński i 17—20 Jerzy Florczak; gra podwójna kobiet: 4. Helena Koziol i Stanisława Łastówka z GKS Jastrzębie; gra podwójna mężczyzn: 9—15: Leszek Goliński i Paweł Korus (Włókniarz Łódź); gra mieszana: 9—16: Dorota Djańczyka i Dariusz Kabaciński z Victorii Wałbrzych oraz Helena Koziol i Henryk Zaręba z Pogoni Siedlce.

▲ Otrzymałmy ostatnio pozdrowienia od piłkarzy rezerw II-ligowego Chrobrego Głogów i tenisistów stołowych Górnika Polkowice przebywających na obozach szkoleniowych. Serdecznie dziękujemy.

piszą do nas

Działacze nie wytrwali

Piszę do Was w sprawie nie najważniejszej ale i nie błażej. Dotyczy turniejów tenisa stołowego organizowanych przez LZS w Złotorzy. Były cztery turnieje, podczas których wyłoniono po ośmiu najlepszych zawodników w poszczególnych kategoriach do rozgrywek finałowej. Finał odbędzie się w Złotorzy w kwietniu. Pierwszy turniej eliminacyjny miał miejsce w Złotorzy, drugi w Legnicy, trzeci w Chojnowie a czwarty w Zagrodnie. O turnieju w Legnicy nawet był artykuł na łamach Waszej ga-

zety mówiący o frekwencji, o tym kto zajął czołowe miejsca — o pozytywnych poczynaniach organizatorów itp. Turniej w Zagrodnie, a raczej jego zakończenie zaskoczyło wszystkich tych, którzy do tej pory dotrwali. Dotrwali zawodnicy, lecz nie wytrzymali do końca organizatorzy i sędziowie. Mówiąc jaśniej, częste wychodzenie osób prowadzących zawody do pomieszczenia obok sali gimnastycznej tak na nie wpłynęło, że sędziowie sędziowali niedbale; popełniali bez przerwy pomyłki, nieporozumienia wystawiali się, po prostu byli pijani. Finał gry podwójnej mężczyzn odbył się już bez organizatorów, nie wiem czy mogli odmówić posłuszeństwa, czy poszli do domu. Finał gry pojedynczej kobiet nie odbył się w ogóle. Po

turnieju nie było oficjalnego zakończenia, nie było dyplomów dla zwycięzców. W grach podwójnych mężczyzn i w mieszanych nie było rozstawienia par, które miały największe ilości punktów po poprzednich turniejach, wzorem turnieju drugiego i trzeciego. Dochodziło do tego, że ci, którzy mieli tych punktów wiele spotykali się w pierwszej grze, a ci którzy na turniej trafili prosto z ulicy w butach, spodniach i marynarce, trafiali też na słabszych i mieli możliwość zająć wysoko. W sumie nie chodzi tu o te uwagi czy dyplomy, ale o to, że młodzież i dzieci przyglądały się postawie organizatorów. Na moją uwagę zasługują jeszcze punktacja za grę w turniejach. W pierwszym turnieju za uczestnictwo (nie za zajęte miejsca od 1

do 10) zawodnicy otrzymywali 1 punkt, w turnieju drugim już 3 punkty, w trzecim dwa a w czwartym jeden. Gdzie tu logika?

Jeszcze jedno. Organizatorzy wprowadzili punktację dla gospodarza poszczególnego turnieju za przygotowanie do imprezy i sali. Można przypuszczać, że najlepszą notę otrzyma turniej w Zagrodnie, bo gospodarze stanęli na wysokości zadania i wykosztowali się nieźle aby przyjąć organizatorów. Po ostatnim turnieju ja i moi koledzy mieliśmy wrażenie, że była to zmarnowana wolna sobota. Mam nadzieję, że dzień, w którym odbędzie się finał będzie lepszy.

N.N.

(nazwisko i imię znane redakcji)

— Lada chwila powinien wrócić, poszedł po rybki — oznajmia żona przez uchylone drzwi.

Chwila przeciąga się prawie do godziny, pognalo go jeszcze do ZBoWiD. No i zaraz musi tam wrócić. Zostało nieco czasu, żeby coś przegryźć i wypić kawę, taką słabszą, bo na żołądek trzeba uważać. Umawiamy się na rozmowę. Dziś już nie z tego nie będzie, bo za chwilę Jan Jankowski będzie przewodniczył komisji społecznej w Zarządzie Wojewódzkim ZBoWiD. Przyszło trochę pieniędzy na zapomogi, trzeba je jakoś rozdzielić na 50 kół. Jutro? Też nie bardzo możliwe. W środę wypada dyżur w Komitecie Osiedlowym nr 1, będzie przyjmował interesantów. Temu dach przecieka, tamtemu piec kopci, innemu znowu okno się nie domyka.

Jankowski to wszystko spisze, potem będzie kolatał gdzie trzeba. Dobrze wie kogo w jakiej sprawie trzeba poruszyć. Nieobce są mu urzędnicze ścieżki, sam je wydeptał przez wiele lat. Było się i kierownikiem referatu kwaterunkowego, i zastępcą kierownika gospodarki terenami. A co w czwartek? Kroci się trochę luzu.

★

Zdażył już oblecieć z rana kilka miejsc. Zaszedł do Wojewódzkiej Komendy ORMO, gdzie na pół etatu dobiera Adam Budas, przewodniczący komitetu osiedlowego. Podpisał u niego czek, pobrał pieniądze, bo jutro wypłać dla palacza i sprzątaczkę. Zahażył też o ZBoWiD.

W komitecie osiedlowym Jankowski jest sekretarzem. W domu teczkę pełną dokumentów, notatek i grubego zeszytu. A w nim opis warunków bytowych 140 najstarszych, powyżej osiemdziesiątki, mieszkańców osiedla. Tych z Jaworzyńskiej, Wielogórskiej, Mickiewicza, H. Sawickiej, Traugutta, Św. Elżbiety... Dzielnicy starych, przeważnie jeszcze solidnych domów i starych ludzi. Wspinał się po piętach, pukał do drzwi, pytał, jak się komu powodzi i zapisywał, że: Klinecka mieszka przy córce, nie ma renty, bołą ją nogi i przez to nigdzie nie chodzi. Krajnikowa, bez renty, na utrzymaniu syna. Łakociowa, prawie ociemniała. Jabłońska, urodzona w 1900 roku, samotna, ma jeden pokój, strawę gotuje na maszynie, zakupy robi sama i z opieki nie korzysta. Trzydziestu najbardziej potrzebujących opieki przydzielił po 4 tys. zł.

A potem w klubie osiedlowym była herbatka, ciastko, występy dzieci i uroczyste dyplomy, ot, tak sobie, za żadne tam zasługi. Przyszło sporo emerytów, ale tylko sześciu z tej trzydziestki obdarowanych szczęśliwców. No trudno, cóż robić. Lista pod pachę, pieniądze w kieszeń i znów od domu do domu, z piętra na piętro.

— Czy pana czasem urzędnicy nie wykorzystują?

Żonie zdaje się, że tak. Ale pan Jan usmiecha się i mówi, że jak proszą, to odmówić nie może. Urzędnik przychodzi urzędowo, a pan Jan jako sąsiad z dzielnicy. Ponarzekać człowiek się przy nim nie krępuje; zmartwieniem podzielić, pobiadolić nie wstyd. Dobrze wie, że ten odruch zrozumienia starym i samotnym jest potrzebny.

Zycie śmignęło nie wiedzieć kiedy. Za dwa miesiące stuknie osiemdziesiątka. A tu ciągle tyle spraw na głowie, nie swoich, przeważnie społecznych.

— Czy nie lepiej byłoby w ciepłych

Album

Maria Kuncaitis

bamboszach, przy piecu, z gazetką w ręce? — pytam.

— To nie dla niego — odpowiada za męża pani Maria — długo by tak nie wytrzymał.

Jeszcze przez osiem lat na emeryturze pół etatu ciągnął, udzielał się jak dawniej, aż się organizm zbuntował. Zapaść była sygnałem ostrzegawczym. Żona powiedziała — stop, wystarczy. Do pracy więcej nie pójdziesz. Ale społecznikowania nie dał sobie wyperswadować. Musiałaby pani Maria być jednak konsekwentna i wyrzec się swoich funkcji w samorządzie mieszkańców i w peesie. A nie jest to takie proste. Dopóki człowiek czuje się na siłach, ma chęć do życia, to musi coś robić. Bo jak nie, to raz dwa skapanie, zgorzknienie — i po nim. Pan Jan zasłania się obowiązkiem partyjnym, ale chyba dlatego, żeby nie powiedzieć, iż to, co robi, odpowiada mu. Ciągłe chce być użyteczny. A przy tym coś znaczyć, być zauważonym i docenionym. Zwyczajna ludzka potrzeba, ale on sam nigdy by czegoś takiego nie powiedział.

Nie narzeka, pamiętając. W trzecim roku na emeryturze „chlebowy” przypieł. A ostatnio nagrodę miasta Legnicy dostał, za długoletnią pracę w samorządach. Nie licząc już wszelkich odznaczeń zbawidowskich. To wszystko zobowiązuje, uważa. Jak by wyglądał, gdyby nagle się wycofał i zasył w domowych pieleszach?

— Młodzi są dziś innego zapatrywania — powiada Jankowski — nie garną się do pracy społecznej. Ale czy zaraz trzeba złorzeczyć na młodych, nie ich to tylko wina. Nasza młodość niepodobna do waszej, nieraz jedynym marzeniem był dla nas pełny brzuch i wygodne domowe łóżko.

Pierwsza wojna, to głód, nocne kolejki siedmiolatka po chleb przy 20 stopniach mrozu. Później świadectwo szkoły powszechnej i do roboty, dorywczej, to tu, to tam. Dopiero na pięć lat przed wojną trafiła się dobra praca w fabryce radiowej. Złoty dwadzieścia na godzinę. A pracowało się nawet po dwanaście godzin. Darmo się każdy groził, nawet w święta zostawało się do czyszczenia kotłów. Ale ten ciągły strach przed zwolnieniem. Idzie się na urlop, w książeczce ubezpieczeniowej wbijają — zwolniony, wraca się, jak przysięga, stawiają pieczęć — przyjęty.

Tuż przed wojną na przedmieściu Wilna stanął, z tych uciulanych pieniędzy, drewniany domek, ledwie dwa pokoje z kuchnią. Radość była krótka. 22 sierpnia, po powrocie z pracy, obok talerza z zupą żona położyła kartę mobilizacyjną...

★

Szesnaście dni i nocy marszu, potyczek, cofania, wydzierania z okrażenia, ocierania się o śmierć. Dowódca batalionu ciężko ranny, jego adiutant beznaście — czaszka w polowie zniesiona, pułkownik artylerii — obie nogi urwane, zginął kapelan i lekarz. Jeszcze

ostatni zryw, kilkanaście kilometrów w kierunku Siedlec i dalej już nie ma dokąd. Ginie następca majora Pacholskiego. We wsi Domanice batalion dostaje się do niewoli. Piechotę na Węgrów, Ostrów pod Malbork. Idą, jakaś wieś, kościółek i scena jak z koszmarnego snu. Przy drodze liczna, może 7—8-osobowa rodzina Żydów, kopie rękami dół, w dole młoda dziewczyna, zupełnie siwa tańczy, śpiewa, śmieje się. Obok wachmistrz z grubą łagą. A pochód jeńców na wpół przytomnych ze znużenia zmierzają dalej, na północ.

Niewola. Stallag Altengrabow XI A. Roboty w majakach, cukrowniach i u chłopów. Osiemnastu „wilniaków” trzyma się cały czas razem. Wieś Cobel nad Łabą koło Magdeburga. Jeńcy stoją w rzędzie, chłop przychodzi, wybierają, szacują który robotniejszy. Pytają o zawody, każdy musowo — rolnik, bo na niemieckie miasta sypie się grad bomb. Na placu zostaje trzech największych. Jednego zabiera soltys, a Jankowskiego i jego kolegę prowadzi do swojej sąsiadki. Stara Niemka spogląda na dwóch drągali i zalamala ręce: Mein Gott! Dwóch takich dużych, będzie dużo jeść!

Fallingb. Maczkowcy ściągają byłych żołnierzy do obozu! Słychać o bolszewikach, o powrocie do ojczyzny z bronią w ręku. Co robić? Wszystkich dreczy to samo pytanie. Rozstrzygnąć trzeba samemu. Wielu tych ze zdjecia nie wróci. Rozproszyli się po świecie, porwały się kontakty.

Zdjęcia z niewoli nie znalazły się w rodzinnym albumie, mają osobne miejsce. Te pozowane, grupowe i te bardziej autentyczne, amatorskie. Niedzielną msza w wiejskiej gospodzie, zamienionej na barak dla jeńców. Za ołtarz służy bufet. Odprawia ksiądz-jeńiec z francuskiego obozu. Zdjęcie Luski, chowanej bez ojca. Na odwrocie zdanie: Ala — 1 rok i 8 miesięcy. Robione 4 sierpnia 1940 roku.

A ta pucata buzia, to już dzień dzisiejszy, mały Ajwaryst Łabudis prawnuczek. Smakujemy litewskie kielbasy, przywiezionej z Wilna przez gospodarzy. Luska jest już babką, jeździ własnym samochodem i buduje dachę na sześciopiętrowej działce pod Wilnem.

★

Baśka urodziła się w Argentynie. Śle stamtąd listy i kolorowe zdjęcia do nieznanej ciotki w Polsce. Ojczyzny rodziców nigdy nie zobaczy. Nigdy nie będzie jej stać na taki wydatek. Zarobki męża architekta, Włocha z pochodzenia, ledwo starczą na utrzymanie rodziny.

Paweł, jedyny brat pani Marii, już nie żyje, jego żona też. Zostało zdjęcie. Mundur, lampasy, u boku szabelka i wiotka żona w białym ślubnym kostiumiku. Tak, to wtedy widzieli się po raz ostatni, w trzydziestym ósmym na ślubie. Za późno odnalazła brata po wojnie. Gdy jej list dotarł do Londynu, on z żoną wsiadał na statek. Za morzem polski mundur dyplomowanego kapitana nie nie znaczył. Wdziął więc kombinizon, poszedł do fabryki guzików, czyścił kanały, w końcu robił ramki do obrazków. Musiał wtedy błogosławić naszego dyrektora z pińskiego gimnazjum, myśli pani Maria. To on pilnował, żeby każdy uczeń wyuczył się w szkole stolarki. Ciągłe powtarzał: to się może wam w życiu przydać. Nie zbił brat w Argentynie majątku, żył tam ubożuchno. Nie pasował do tamtego świata. Tak mówili znajomi Pawła, którzy przyjechali do Polski na urlop i przy okazji zahaczyli o Legnicę.

A tu, mój Boże! — rodzinny dom w Pińsku. Podwieczorek w ogrodzie. Panny z warkoczami, już po maturze, rodzice. Później ten skromny, drewniany domek urosł w czyichś oczach do rozmiarów dwóch kamienic. Szukano argumentów godzących w pochodzenie, a ten pasował — córka kamienicznika, matura też nie przemawiała na jej korzyść i jeszcze w dodatku ten brat, służył sanacji. Zarzutów było dość, nie wywiązała się ponadto z partyjnego zadania, bo nie założyła spółdzielni produkcyjnej w Stupie.

Nieraz bywało tak. Telefon do pracy: Towarzysko, powiadają, pojedziecie w teren, tam, a tam przeprowadzić zebrań. W jedną stronę wiozą samochodem, a w drugą — radzić sobie sama. Od

wioski do stacji ponad dwa kilometry. Daleko, hen na horyzoncie, jak isierka, mży słabe światelko. Brnie polną drogą, przez zasy i ciemność, elegancka w palcie, z lilem wokół szyi i duszą na ramieniu. Kolejarz podsunął gorącą herbatę. Nadszedł pociąg, tyle że do Jawora, a nie do Legnicy. W komitecie miejskim nocny dyżur, użyczyli tam wolnego stołu, określiła się płaszczem i zdręmnęła na parę godzin. Rano na pociąg, i do Legnicy na dyżur do szpitala.

Ale towarzysza Jankowska miała ostry język i na konferencji miejskiej „przejechała się” personalnie po miejskiej władzy. Wkrótce po tym jako element obcy klasowo została usunięta z partii. Trzy lata później, po odwilży, nowy sekretarz, jeszcze tego samego dnia po wyborze, o dziesiątej wieczorem wpadł do jej mieszkania i należał żeby wystąpiła o rehabilitację. Jakoś tak zeszło, a może zadra tkwila zbyt głęboko, dość że dała sobie spokój z rehabilitacją. Co wcale nie oznacza, że Jankowska dokładnie wyuczyła się lekcji pokory. Jak trzeba, to i dzisiaj potrafi buzię otworzyć. Ostatnio na zebraniu obwodowym członków PSS, zaatakowała prezesa. Poszło o sklep rybny, bo albo zamknięty, albo też nie w nim nie ma.

Myliby się ktoś sądząc, że Jankowska, to twarda baba. Są miejsca w pamięci, które bołą jak świeże rany. Oczywiście, ręka błędzi po kieszeniach fartucha za chusteczką do nosa. To wojna. Zmobilizowana pielęgniarka sama została ranna podczas nalotu na Brześć. Kilka odłamków utkwiło w ciele, kula oartała się o twarz. A potem, ech tego nie da się tak spokojnie opowiedzieć. Pociąg sanitarny mijał się od stacji do stacji, pod bombami, bez celu. Trzy wago-



Maria Jankowska. Zdjęcie zrobiono na krótko przed wojną.

Repr. Janusz Budnicki

ny rozniesione przez bomby, reszta rannych chroni się w bagnistym lasku. Wieczorem pochód kalek wlecie się kilka kilometrów do Kostopola. Tam znów do pociągu, który dalej będzie błąkał się po torach. Zdezorientowani kolejarze kierują to na Równie, to na Baranowice, to na Pińsk. Jadą. Bez leków, żywności, wody. Co kilka kilometrów warkot samolotów, a oni — z pociągu do lasu, z lasu do pociągu.

★

— Wciągnął się człowiek do pracy z ludźmi — powiada pan Jan. — Tuż po wojnie w związkach zawodowych. Potem wysoka funkcja w ubezpieczalni społecznej — przewodniczący na dziesięć powiatów, następnie rady narodowe, ławnikowanie w sądach i praca społeczna do dziś. Od wielu lat również jako gospodarz domu. A to strych pozamiata, bo sprzątaczką rękę zlamala, a to szybkie wstawi, a to rury na zimę w piwnicy opatuli, żeby woda nie zamrzęła, często w nocy wstanie, bo na dole ktoś za sobą bramy nie zamknął. I wszystko to za symboliczne „Bóg zapłać”. Piętnaście lat temu mieszkańcy nawet klatkę społecznie pomalowali. Ktoś obrażki powiesił. Choć ściany już mocno zakurzone, znać tu ślad gospodarskiego oka.

Nie sobie nie robi Jankowski z tych swoich osiemdziesięciu lat. Stale w ruchu nie czuje chyba ich ciężaru. Ciągłe jakieś sprawy na głowie, czyjeś problemy. Tak to było i tak zostało.

Zapraszają gospodarze, żeby wpaść czasem, odwiedzić ich. Wieczorem zawsze można nas zastać, dodają.



Osiemnastu wilniaków cały czas trzymało się razem. Jankowski na samym dole, pośrodku.

Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego

w Złotorzy, ul. Legnicka 37

ZATRUDNI NATYCHMIAST

na nowo otwieranych budowach

1. RACIBOROWICE:

— 6 CIEŚLI BUDOWLANYCH

2. NA BUDOWACH W ZŁOTORZY:

— 6 CIEŚLI BUDOWLANYCH
— 6 MURARZY
— 6 TYNKARZY

o r a z

3. INŻYNIERA BUDOWNICTWA

— na stanowisko kierownika działu produkcji —
wykształcenie wyższe lub średnie plus uprawnienia
budowlane.

4. 2 KIEROWNIKÓW BUDÓW

— praca na terenie miasta i gminy Złotorzy — wy-
kształcenie wyższe lub średnie plus uprawnienia bu-
dowlane.

5. 2 MAJSTRÓW BUDÓW

— wykształcenie średnie budowlane.

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAPEWNI:

— specjalne wynagrodzenie wg zakładowego systemu
wynagrodzeń,
— szerokie świadczenia socjalne,
— możliwość otrzymania mieszkania w okresie do 2 lat.

Warunki pracy i płacy do omówienia w siedzibie przed-
siębiorstwa.
Informacji udziela kadry telefonicznie pod numerem 670 lub
677-678.

366-k

PRZEDSIĘBIORSTWO PRZEMYSŁU CHŁODNICZEGO

ZAKŁAD NR 4

w Legnicy,
ul. Poznańska 43/63

PRZYJMIE DO PRACY:

1. KIEROWNIKA WYDZIAŁU ENERGETYCZNEGO

— wymagane wykształcenie
wyższe.

2. MISTRZA WYDZIAŁU ENERGETYCZNEGO

— wymagane wykształcenie
średnie.

Blizszych informacji udziela dział
kadr, tel. 270-71, wewn. 40.

369-k

Spółdzielnia Mieszkaniowa Zagłębia Miedziowego

w Lubinie, ul. 1 Maja 13

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na następujące roboty:

1. Ocieplenie 11 budynków niskich wraz z malowaniem elewacji czę-
ściowo z materiałów inwestora — na kwotę około 19.000.000 zł.
2. Ocieplenie szczytów 1 budynku wysokiego z materiałów inwesto-
ra — na kwotę 4.000.000 zł.
3. Wymiana instalacji Azart w 2 budynkach — na kwotę około
1.500.000 zł.
4. Roboty budowlane przy remontach 5 dźwigów — na kwotę około
3.500.000 zł.
5. Wymiana ekranów wraz z malowaniem elewacji w 4 budynkach —
na kwotę około 20.000.000 zł.

Wszelkich informacji dotyczących wyżej wymienionych robót udziela dział przy-
gotowania inwestycji, tel. 44-35-01, 44-35-17, 44-35-33.

Komisijne otwarcie ofert w zalakowanych kopertach nastąpi w 14 dniu robo-
czym po ukazaniu się ogłoszenia w dziale przygotowania inwestycji, pokój nr 12.

W przetargu mogą brać udział przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i zakłady pry-
watne.

Oferty prosimy przysyłać wraz z danymi do kalkulacji.

Zastrzegamy sobie prawo wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu bez podania przy-
czyn.

367-k

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej

w Legnicy, ul. Poznańska 48

OGŁASZA PRZETARG

na wykonanie w generalnym wykonawstwie „Centralnej Cie-
płowni” w Głogowie:

- planowany termin rozpoczęcia I etapu budowy — I półrocze
1987, zakończenia — sezon ogrzewczy 1990/91,
- charakterystyka obiektu — etap I — 3 kotły, typu WRp —
46 — 020,
- dokumentacja jest opracowywana sukcesywnie do końca
I kw. 1987 r.

Przetarg odbędzie się w 10 dniu roboczym od daty ukazania się ogło-
szenia w siedzibie WPEC Legnica o godz. 10.

Blizszych informacji na temat przetargu udziela WPEC Legnica, telefon 297-02,
218-71.

W przetargu mogą uczestniczyć wyłącznie przedsiębiorstwa państwowe.

368-k

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO GOSPODARKI TURYSTYCZNEJ

„PIAST-TOURIST”

w Legnicy, ul. Obrońców Stalingradu 12

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych pojazdów:

1. ROBUR LO-3000 Fr — AUTOBUS, LGA 563F, rok produk-
cji 1979, stopień zużycia 70 procent, cena wywoławcza
335.700 zł.
2. ŻUK A-11 B, LGA 761R, rok produkcji 1976, stopień zuży-
cia 60 procent, cena wywoławcza 262.400 zł.

Przetarg odbędzie się w dniu 25 marca 1986 r. o godz. 10 w Bazie Transportowej
przy ul. Przemysłowej 53, gdzie pojazdy można oglądać.

Wadium w wysokości 10 procent ceny wywoławczej należy wpłacić w kasie
przedsiębiorstwa przy ul. Obrońców Stalingradu 12.

Jeżeli pojazdy nie zostaną sprzedane w I licytacji, to o godz. 12 tego samego dnia od-
będzie się II licytacja po obniżonych cenach wywoławczych — około 30 procent.

Zastrzegamy sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

370-k

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

M E Ż A

kol. BARBARZE
TKACZYSZYN

składają:

kierownictwo i koleżanki ze
żłobka „Elpo” w Legnicy.

21028-g

Koleżance IRENIE LIENIG

wyrazy szczerzego współczucia z po-
wodu śmierci

B R A T A

składają:

najbliżsi współpracownicy
z Zespołu Opieki Zdrowotnej
w Złotorzy.

21021-g

(Dokończenie z poprzedniego numeru)



KONKRETY

